

## Niestrudzony Misjonarz

**Ks. Jan Berthier Apostoł i wychowawca powołań misyjnych**

**Na podstawie książki ks. H.J. Barnhoorna MSF "Ks. Jan Berthier, założyciel Misjonarzy Św. Rodziny 1840- 1908" opracował ks. Marian Bocian MSF**

W roku 1973 ukazało się nakładem Księgarni św. Jacka w Katowicach polskie tłumaczenie życiorysu ks. Jana Berthiera napisanego przez ks. H. J. Barnhoorna MSF, dokonane przez ks. dr Zachariasza Krużę MSF, a przygotowane do druku przez ks. mgra Tadeusza Duszę MSF. Tłumaczenie zostało dokonane z niemieckiego przekładu książki, noszącego tytuł: "Priester für das Ganze Volk".

Wspomniany polski przekład został już dawno wyczerpany i jest już właściwie nieosiągalny. W związku z obchodami 150-lecia urodzin ks. Jana Berthiera /1840/ postanowiłem w porozumieniu z ks. Prowincjałem dr Pawłem Światała MSF opracować streszczenie wspomnianego polskiego przekładu ks. dra Zachariasza Kruży MSF. Przy opracowywaniu skróconego życiorysu ks. Berthiera korzystałem jako z wzoru, z podobnego opracowania dokonanego w języku hiszpańskim przez ks. Santiago Fernandez del Campo MSF.

Życiorys niniejszy przeznaczony jest przede wszystkim dla osób świeckich w Polsce, gdzie postać ks. Jana Berthiera jest jeszcze wciąż bardzo mało znana. Może on służyć z powodzeniem jako pomoc w akcji budzenia powołań kapłańskich i zakonnych.

Pracę niniejszą zawierzam Matce Bożej Saletyńskiej. Niech Jej wstawiennictwo sprawi, by sylwetka Jej gorliwego Apostoła stała się dla wszystkich wzorem gorliwości w budowaniu królestwa Bożego.

ks. Marian Bocian MSF

### **Rozdział I - PIERWSZE LATA ŻYCIA Ks. JANA BERTHIERA**

Ks. Jan Berthier pochodził z regionu Delfinatu, obecnie departament Izery w południowo - wschodniej Francji. Jego miejscowość rodzinna, Châtonnay, leży w dolnym Delfinacie, niedaleko starożytnego miasta Vienne nad Rodanem, ukryta pomiędzy lasami i wzgórzami, w strefie rodzącej pszenicę, ziemniaki, buraki i inne rośliny użytkowe. Przy pięknej pogodzie można dostrzec w oddali Wielką Kartuzję, a nawet szczyty Mont Blanc.

Gmina Châtonnay liczyła w roku 1840 ponad dwa tysiące mieszkańców rozmieszczonych w 17 wioskach. W tym właśnie roku, w skromnym gospodarstwie wiejskim znajdującym się na uboczu, w dniu 24 lutego przyszedł na świat Jan Berthier, syn prostego rolnika Piotra Berthiera i Marii Putoud.

Ojciec miał charakter czynny, energiczny i oszczędny. Czasami przejawiała się u niego popędliwość, hardość i nieustępliwość. O matce powie później Ks. Berthier: *"Uważam za jedną z największych łask, jakich dobry Bóg zechciał mi udzielić, że dał mi świętą matkę"*.

Małżeństwo to wydało na świat sześcioro dzieci, z których przeżyło jedynie dwoje: Jan i Antoni. Jan został ochrzczony dwa dni po swoim urodzeniu przez ówczesnego wikariusza, ks. Antoniego Champon, w kościele parafialnym, w którym przyjmie później pierwszą Komunię św. i będzie pełnił funkcję ministranta. Spośród jego wspomnień z dzieciństwa na pierwsze miejsce wysuwa się opowiadanie o objawieniu się Matki Bożej w La Salette w dniu 19 września 1846 r. Sam o tym później opowiadał: *"Miałem zaledwie sześć lat, gdy moja babcia opowiadała mi historię o zjawieniu się Matki Najświętszej na górze La Salette. Jakież przedziwne są drogi Boże. Byłem jeszcze dzieckiem. Mimo to opowiadanie wywarło na mnie głębokie wrażenie. Byłem nim tak przejęty, że już nie mogłem go zapomnieć"*.

## **Rozdział II - OKRES FORMACJI**

Jan był dzieckiem inteligentnym i ojciec robił wszystko, żeby dać mu wykształcenie. *"Ponieważ dom nasz był dość odległy od szkoły, ojciec mój, bardzo dbał o to, abym żadnej lekcji nie zmarnował, brał mnie na swoje barki, gdy zimą spadł tęgi śnieg i zanosił do szkoły. Nie zadowolił się tym, że powierzył mnie dzielnym nauczycielom, ale sam uczył mnie jeszcze wieczorami, każąc czytać i powtarzać z pamięci całe partie Ewangelii"* - wspomina później O. Jan Berthier.

Ważną rolę w jego formacji odegrał również ks. Champon, który w międzyczasie został proboszczem. Był to człowiek dobry, szczerzy i całkowicie oddany swoim parafianom. W ósmym roku życia Janek został ministrantem i zaczął uczęszczać na katechezę. Ze względu na jego gorliwość i inteligencję przypadł mu w udziale zaszczyt recytowania z pamięci historii Męki Pańskiej oraz czytania w kościele niedzielnej Ewangelii. Z wielkim zapałem przygotowywał się do przyjęcia pierwszej Komunii św. Jeden ze świadków opowiada, że w tym wielkim dniu Janek płakał ze wzruszenia.

Wcześniej odczuł Boże powołanie i zapragnął zostać kapłanem. Zwierzył się z tego ks. Champonowi, który podjął się omówienia tej sprawy z rodzicami Janka, jako że pan Piotr miał w stosunku do syna inne plany. Podobnie jak inni kapłani w tamtych czasach, stworzył przy parafii kurs języka łacińskiego, żeby trochę przygotować chłopców, którzy pragnęli wstąpić do seminarium duchownego. Wspólnie z innymi kolegami uczył się tu również Janek, zapalony obietnicą ks. Proboszcza wysłania go do niższego seminarium, jak tylko będzie zdolny podjąć normalny kurs nauki.

Jego poważny charakter przyczynił się do tego, że potrafił poświęcić na naukę dużą część swojej energii. Pomagał rodzicom w pracy w gospodarstwie i, o dziwo, nie lubił uczestniczyć w zabawach swoich kolegów.

### **W niższym seminarium**

Przezwyciężywszy opory swojego ojca, rozpoczął w 13 roku życia pierwszy etap swego życia seminaryjnego w diecezjalnym niższym seminarium duchownym w La Côte, oddalonym o kilka kilometrów od Châtonnay. Niższe seminarium cieszyło się bardzo

dobrą opinią ze względu na solidne wychowanie i wykształcenie, jakie dawało swoim wychowankom.

Pobyt Janka w La Côte będzie trwał cztery lata, od 1853 do 1857. Pierwszy rok był szczególnie trudny i wyczerpujący, gdyż ze względu na otrzymane przygotowanie przyjęto go na kurs wyższy. Mimo wszystko ukończył ten rok jako jeden z najlepszych w swojej klasie.

Formacja w La Côte obejmowała nie tylko naukę, ale również formację duchową i życie religijne. Janek był dobrym uczniem. Wykazywał szczególne zainteresowanie naukami botanicznymi. Według opinii swoich kolegów miał dobry charakter. Jak wspomnieliśmy wyżej, nie był zainteresowany żadnymi zabawami. Był bardzo zaangażowanym członkiem Sodalicji Mariańskiej i starał się wypełniać wszystko, co stanowiło cechę dobrego sodalisa. Kochał Maryję i starał się dobrze czynić wszystkim.

Podczas wakacji pomagał swemu ojcu w ciężkich pracach w gospodarstwie, wypełniał swoje obowiązki religijne i brał udział w spotkaniach dla seminarzystów z parafii, które urządzał ks. Champon, aby ich jednoczyć i utwierdzać w powołaniu.

### **Filozofia**

W październiku 1857 roku siedemnastoletni Jan Berthier przeniósł się do niższego seminarium Le Rondeau w Grenoble na studia filozofii. W roku 1857 stolica departamentu Izery liczyła około trzydziestu tysięcy mieszkańców. Seminarium leżało nieco poza miastem i było wkomponowane we wspaniałą panoramę górską.

W seminariach francuskich wykładano w tym czasie filozofię kartezjańską. *"Za moich czasów uczono filozofii tylko według systemu Kartezjusza. Przystudiowałem go całego. Ale czułem, że coś się tam nie zgadza. System ten nie zadowolił mnie. Przy najbliższej okazji zabrałem się do studium św. Tomasza z Akwinu"* - tak opowiadał później Jan Berthier swoim wychowankom. W ten sposób wyprzedzał myśli papieża Leona XIII wyłożone w encyklice "Aeterni Patris" z 4 sierpnia 1879 roku. *"Tak oto studiowałem filozofię po raz drugi. Dzięki temu mogłem opanować i oprzeć na dobrych zasadach zdrową naukę teologiczną. U św. Tomasza zdobyłem cenne wiadomości o ojcach Kościoła i nauczyłem się ich cenić, jak również poznać skarby, które zawierają ich pisma"*.

### **Wyższe seminarium duchowne**

W połowie XIX wieku nie brakowało Kościołowi we Francji ważnych wydarzeń. W roku 1854 zmarł, nie pojednawszy się z Kościołem, wybitnie utalentowany kapłan Hugo Felicité Lammenais, prekursor idei, które Kościół przyjął dopiero w encyklice Leona XIII "Rerum Novarum" (1891). Z drugiej strony, żył wtedy i pracował jeszcze w Ars, niedaleko od Grenoble, słynny święty proboszcz Jan Vianney. Kościół francuski wzbogacił się o nowych męczenników: bł. Gabriela Perboyre w Chinach (1840) i św. Piotra Ludwika Chanel w Oceanii (1841). W roku 1858 w Lourdes ukazała się Bernadecie Subirou Matka Boża.

Dnia 23 października 1858 roku Jan wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego. Niech sam nam opowie, co wtedy odczuwał: *"Trudno mi opowiedzieć, co się ze mną wtedy działo, gdy wszedłem do celi seminaryjnej. Odczuwałem potrzebę pozostania w samotności, aby się pomodlić i wypłakać...Myśl, że W tym gmachu mieszkali kiedyś męczennicy, wyznawcy i bez wątpienia święci kapłani, kazała mi ze*

*czcią nań spoglądać. Widziałem w duchu tych, którzy tu przede mną mieszkali... Wydawało mi się, że ich cnoty uświęciły to miejsce i że wszystko tu przemawia do mnie: okaż się godnym twych poprzedników. Jak wielu heroicznym aktów cnót, jakich płomiennych modłów świadkami były te mury, to łóżko, ten stół! To wszystko wołało do mnie: i ty musisz zostać świętym... Powinienem nim zostać! O jakże byłem wówczas szczęśliwy! A dzisiaj muszę stwierdzić, że jednak za mało z tego odniosłem pożytku".*

Formacja kapłańska we Francji w latach 1850 -1870 pozostawiała wiele do życzenia. Nauka szwankowała, formacja teologiczna nie stała na wysokości zadania, brakowało wykształconych i pracujących naukowo profesorów. Seminarium w Grenoble stanowiło chlubny wyjątek. Posiadało dobrych profesorów inspirowanych przez gorliwego biskupa Ginoulhiac'a, specjalistę od dogmatyki i patrologii. Należeli do nich rektor Orcel oraz księża Rousselot i Mussel. Jan Berthier był pełen czci i szacunku dla tych wybitnych kapłanów i uczył się wiele zarówno z ich wykładów, jak i z ich przykładu, o czym sam później napisze: *"Jak piękne jest życie seminarzysty, którego dusza rozwija się na modlitwie do Jezusa i Maryi, który z całą gorliwością oddaje się studiom prawd wiary i sam głęboko o nich przekonany, przygotowuje się do tego, aby je kiedyś skutecznie głosić. Ileż to wspomnień pozostawiły w nas lata seminaryjne! Jakiego przeobrażenia mogłyby dokonać w naszych duszach, gdybyśmy umieli dobrze je wykorzystać. Wielka była wówczas nasza zdolność wchłaniania wiedzy, wielka gorliwość, wielki zapał. Czemu zawdzięczaliśmy to wszystko? Dobrze uporządkowanemu życiu, które prowadziliśmy... Niestety, nasz szczęśliwy okres formacji minął szybko".*

U tego młodego studenta teologii rzuca się w oczy głębokie poczucie odpowiedzialności za przyszłe życie kapłańskie, i ono właśnie było dla niego najsilniejszym bodźcem w zdobywaniu wiedzy. Gorliwie gromadził materiały do przyszłych kazań i konferencji. Założył alfabetyczny notatnik, w którym umieszczał teksty, uwagi, przykłady i opisy ciekawych wydarzeń, które później znalazły się w jego książkach i kazaniach. Uczył się na pamięć całych ustępów Pisma św., a jeden z jego kolegów powiedział, że Jan pod koniec swych studiów teologicznych znał na pamięć cały Nowy Testament.

Jan Berthier czuł się znakomicie w seminarium, był w swoim żywiole, wiedział czego chce, a studia dopomagały mu do wzrostu w życiu duchowym.

Dnia 23 kwietnia 1859 roku otrzymał tonsurę, która była pierwszym krokiem do uwieńczenia jego kapłańskiego ideału. W dniu 10 lipca tego samego roku otrzymał cztery niższe święcenia. Dnia 16 marca następnego roku był już subdiakonem.

Jego ideał kapłański ucieleśniał się w osobie ks. Jana Marii Vianneya. *"Przed oczyma stał mi obraz Proboszcza z Ars. Postanowiłem naśladować go i prosić o przydzielenie najbardziej opuszczonej i najbardziej niewdzięcznej parafii w diecezji, gdzie bez żadnych dochodów i bez wynagrodzenia można by pracować tylko dla Boga. Powiedziałem sobie, że na początku tygodnia wezmę koszyk, żeby uprosić u moich parafian trochę kartofli i chleba. Taka porcja powinna mi wystarczyć na cały tydzień. Byłbym więc wolny od troski o rzeczy materialne i miałbym więcej czasu na zainteresowanie się sprawami moich parafian, aby prowadzić ich dusze do Boga i być stale gotowym nieść im wszelką potrzebną posługę".*

Tymczasem człowiek planuje, a Bóg kieruje. Jan Berthier wraz z kilkoma kolegami zwiedzał Wielką Kartuzję, założoną przez św. Brunona i odkrył tam wielkie

wartości życia zakonnego, takie jak: modlitwa, rozważanie spraw duchowych i praca fizyczna.

### Rozdział III – MATKA BOŻA UKAZUJE SIĘ NA GÓRZE LA SALETTE

Dnia 19 września 1846 roku dwoje dzieci, Maksymin Giraud i Melania Calvat, wyruszyło ze swymi krowami na paszę na stoki góry Planeau.

Maksymin, liczący wówczas jedenaście lat, był niezbyt mądrym, trochę nieokielznanym i bardzo żywym, ale prawym i niewinnym dzieckiem. Paśł on krowy należące do Piotra Selmy. Melania miała lat piętnaście. Była milczącą, trochę melancholijną dziewczynką, na swój wiek słabo rozwiniętą. Nie przystąpiła jeszcze wtedy do pierwszej Komunii św. Paśła ona krowy należące do gospodarza Jana Pra.

W tym dniu dzieci około południa zapędziły bydło do wodopoju. Nad wodą zjadły swój skromny posiłek i ułożyły się do snu. Przebudziwszy się, rozejrzały się za swoimi krowami, które paśły się spokojnie po drugiej stronie strumyka. Nagle Melania stanęła przerażona. W dole, obok wyschniętego źródła, jarzyło się wielkie błyszczące światło, jaśniejsze od słońca. *"Chodź szybko, zobacz to światło w dole"* - zawołała do Maksymina. Świetlista kula otworzyła się i ujrzeli w niej piękną Panią siedzącą na kamieniu. Nogi miała oparte na suchym mule wyschniętego źródła. Łokciami opierała się o kolana, a dłońmi osłaniała zapłakaną twarz. Z jej postawy bił głęboki smutek.

Dzieci były przerażone. Piękna Pani odezwała się do dzieci głosem, który brzmiał jak muzyka: *"Podejdźcie bliżej, moje dzieci, nie lękajcie się. Jestem tu, aby wam ogłosić ważną nowinę"*. Dzieci ośmielone dobrocią matczynych słów, szybko podeszły do Niej. Dzieci opowiadały później, że suknia Pięknej Pani była długa i sięgała aż do kostek. Miała szal na ramionach i żółty fartuch. Jej "czapka", jak mówiły dzieci, była złączona z ubraniem i pokrywała uszy i włosy. Miała ręce skrzyżowane na piersi, a dłonie ukryte w długich rękawach sukni. Chusta była ozdobiona wieńcem róż białych, różowych i niebieskich, wydzielających świetliste promienie. Inny wieniec róż ze świecącym diademem ozdobił nakrycie Jej głowy. Cała postać była otoczona kręgiem światła i wyglądała jakby utkana z promieni. Na szyi miała dwa złote łańcuchy, a na jednym z nich zwisał krucyfiks. Na jego poprzecznej belce umieszczone były narzędzia Męki Pańskiej: obcęgi i młotek.

Pani płakała, a Jej twarz wyrażała niewymowny smutek. Płacząc, mówiła do dzieci: *"Jeżeli mój lud się nie poprawi, będę zmuszona opuścić karzące ramię mojego Syna. Ono jest tak ciężkie, że nie potrafię go dłużej udźwignąć. Cierpię już tak wiele i tak dawno z waszego powodu. Jeżeli chcę, aby Syn mój was nie opuścił, muszę Go nieustannie za was błagać. Ale wy sobie nic z tego nie robicie..."*

Początkowo mówiła do nich Pani po francusku, lecz dzieci tego nie rozumiały, znając tylko stary dialekt prowansalski, dlatego Pani powtórzyła swoje orędzie w ich dialekcie. Następnie przekazała każdemu z nich tajemnicę.

Maryja zapowiedziała również dzieciom mające nadejść kary: ziemniaki będą się psuły i nastanie wielki głód. Swoje orędzie zakończyła słowami: *"Przekażcie to całemu mojemu ludowi"*.

Potem oddaliła się od dzieci przechodząc przez potok Sezia, i powoli Jej obraz się rozpułnął, pozostawiając po sobie na moment wielkie światło. Dzieci pożegnały

widzenie słowami: *"Żebyż jeszcze była wśród nas"*. Spoglądały jeszcze za Nią przez chwilę, ale nic nie zobaczywszy, udały się z powrotem do swych krów.

Wieczorem Maksymin opowiedział Piotrowi Selme co się wydarzyło, ze wszystkimi szczegółami i z tą częścią orędzia, która została wypowiedziana po francusku. Potem dzieci opowiedziały wszystko o "Pięknej Pani" w domu rodziny Pra. Babcia Caron powiedziała wtedy ze łzami w oczach: *"Dzieci widziały Matkę Najświętszą, bo tylko Ona ma Syna, który króluje w niebie"*.

### **Przesłuchiwanie dzieci**

Maksymin i Melania były przesłuchiwane zarówno przez władze cywilne jak i kościelne. Sołtys, komendant żandarmerii i sędzia usiłowali zbadać prawdomówność dzieci. W tym dochodzeniu prawdy miały miejsce podstępne pytania, naciski, groźby, obietnice... Wszystko miało na celu wyjaśnienie charakteru zaistniałych wydarzeń. Stwierdzono, że w relacjach dzieci nie było żadnej sprzeczności ani kłamstw.

Kościół również ze swej strony badał sprawę. Rozsądny dziekan Melin z Corps przesłuchał dzieci w tydzień po objawieniu, najpierw na plebanii, a potem przy wizji lokalnej na górze. Doszedł do tego samego przeświadczenia, co przedstawiciele władz państwowych. Nie można było bowiem wykryć niczego, co miałoby związek z oszustwem czy kłamstwem. Biskup Bruillard z Grenoble początkowo trzymał się z dala od tej sprawy i to samo zalecał swemu duchowieństwu. Mianował jednak komisję w celu jej dokładnego zbadania. Księża Rosselot i Orcel przeprowadzili z ramienia komisji dokładne przesłuchania, a swoje wnioski przedstawili komisji złożonej z 18 członków pod koniec roku 1847. Po zbadaniu sprawy komisja stwierdziła prawdziwość historii opowiadanej przez dzieci.

Na podstawie wyników prac komisji biskupi Bruillard i de La Rochelle opublikowali w roku 1851 listy pasterskie, potwierdzone przez Św. Kongregację Obrzędów, które zostały odczytane w kościołach diecezji: *"Jesteśmy zdania, że objawienie się Najświętszej Maryi Panny dwojgu pastuszkom w dniu 19 września 1846r. na jednej z gór łańcucha Alp, leżącej w parafii La Salette, nosi na sobie wszystkie znamiona prawdy i dlatego wszyscy wierni są upoważnieni uważać je za pewne i prawdziwe, tak że nie można ich kwestionować"*.

Stwierdzenie opiera się na następujących racjach:

- Ignorancja dzieci: W jaki sposób mogły to wszystko zapamiętać i płynnie opowiadać bez pomocy nadprzyrodzonej ?
- Nie mogły wymyśleć sobie tej historii, bo były niezdolne do tego, a ponadto były zbyt niewinne i szczerze, by się odważyć na takie kłamstwo. One same nie były świadome tego, że to wszystko było bardzo ważne.
- Nie rozumiały po francusku, a mimo to bez trudności pamiętały treść orędzia wypowiedzianą przez Panią po francusku.
- Niczego nie zmieniły, nawet pod wpływem obietnic, gróźb i szyderstw. Nie dały się również niczym przekupić. W ich zeznaniach nie zauważono żadnych sprzeczności.
- Opowiadając o wydarzeniach, w zadziwiający sposób się przemieniały, i na trudne pytania i zarzuty odpowiadały jasno, szczerze i ściśle.
- Z drugiej strony, orędzie Pani zawierało głębokie prawdy religijne, potępiało niewłaściwe postępowanie i wskazywało drogę do pojednania. To właśnie wywarło duże wrażenie na biskupie Ginoulhiac.

- Zapowiedź zniszczenia zbiorów i braku żywności spełniła się, co wywarło ogromne wrażenie na okolicznej ludności.

Dokonało się również wiele cudownych uzdrowień za pośrednictwem wody z "małego źródła", które już nie wysychało. Była to właśnie jedna z najważniejszych racji, które wpłynęły na ogłoszenie przez biskupa Bruillarda listu pasterskiego w tej sprawie.

### **Początek pielgrzymek**

Wieść o objawieniu szybko się rozeszła i wywoływała coraz większe wrażenie. Pomimo trudnego dojścia na La Salette, zaczęły przybywać pielgrzymki. Oblicza się, że w ciągu pierwszego roku po objawieniu przybyło około dziesięć tysięcy, a w rocznicę objawienia liczba przybyłych pielgrzymów dochodziła do pięćdziesięciu tysięcy. Wszyscy z wielką pobożnością słuchali historii objawienia, modlili się i śpiewali.

Dziekan z Corps przekazał Biskupowi z Grenoble wiadomość o błogosławionych skutkach objawienia dla okolicznej ludności.

Po liście pasterskim Biskupa z Grenoble zaczęło przybywać coraz więcej ludzi, i to nie tylko z Francji, ale i z sąsiednich krajów.

W roku 1847 zbudowano dla pielgrzymów kilka chat drewnianych oraz drewnianą kapliczkę dla odprawiania Mszy św. W tym samym roku mieszkańcy La Salette postawili czternaście krzyży stanowiących stacje drogi Krzyżowej na trasie, którą przebyła Matka Boża.

Dnia 1 maja 1852 roku biskup Bruillard wezwał wszystkich do współpracy przy budowie sanktuarium.

Należało pilnie postarać się o kapłanów do obsługi sanktuarium i przybywających pielgrzymów. Pomyślano więc o założeniu zgromadzenia Misjonarzy Matki Bożej z La Salette, których zadaniem było "głoszenie orędzia Maryi całemu ludowi".

Dnia 19 września 1855 roku biskup Ginoulhiac powiedział w La Salette: *"Misja dzieci się skończyła, a teraz rozpoczyna się misja Kościoła"*.

## **Rozdział IV - NA GÓRZE LA SALETTE**

Minęła połowa czerwca 1861 roku. Skończył się rok szkolny, więc grupa siedmiu seminarzystów urządziła sobie pielgrzymkę do Matki Bożej w La Salette. Do tej grupki pielgrzymów należeli: Jan Berthier, Józef Gandy i Ludwik Lassere. Jan Berthier, od czasu odwiedzin w klasztorze OO. Kartuzów, myślał o wstąpieniu do zakonu, ale nie miał jeszcze rozeznania, dokąd go Pan Bóg wzywa. Później powie o tej pielgrzymce: *"Była to daleka droga z Grenoble do Corps, ale pragnienie ujrzenia miejsca, gdzie Matka Najświętsza płakała, sprawiło że zapomnieliśmy o długości drogi i trudach naszego marszu"*.

W roku 1861 przyszła bazylika nie była jeszcze wykończona. Obok źródła stała figura Matki Bożej, a opodal było 14 prostych drewnianych krzyży. *Nie zobaczyliśmy nic, co by nas mogło zainteresować. Lecz przed oczyma duszy stanęły inne wartości. Wszystko było tam ubogie, byliśmy jednak bardzo przejęci, patrząc na miejsce, które Maryja uświęciła przez swoją obecność"*.

*"Myśl, że Maryja uświęciła swoim zjawieniem się ten skrawek ziemi, na którym staliśmy, że zwilżyła tę ziemię swymi łzami, widok misjonarzy, którzy z wielką*

*pobożnością odmawiali swój brewiarz, wszystko to wzruszyło mnie do głębi... Odwiedziliśmy następnie misjonarzy, którzy ustawicznie byli gotowi do udzielania sakramentów świętych i poświęcali się trosce o dusze pielgrzymów. Byłem tym tak przejęty, że postanowiłem wstąpić do tego zgromadzenia. W drodze powrotnej powiedziałem sobie: ja tu powrócę".*

Jan Berthier przeżył tam niezapomniane chwile. Była to chwila, która zadecydowała o jego przyszłości. Kwestia nieskrystalizowanego jeszcze powołania zakonnego stała się teraz jasna. W tym momencie uświadomił sobie, dokąd chce go Bóg prowadzić.

Swoją dojrzewającą decyzję szczerze omówił ze swoim ojcem duchownym, ks. prałatem Orcelem i uzyskał jego poparcie. Ks. Orcel przedstawił Jana O. Archierowi, przełożonemu Misjonarzy z La Salette, który powiedział kandydatowi: *"Drogi przyjacielu! Myślę, że nie obawiasz się krzyżów, których mnóstwo posiada Najświętsza Panna w La Salette".* Jan Berthier odpowiedział: *"Przeciwnie, Ojcze, tego właśnie pragnę, a jeżeli Najświętsza Panna posiada krzyże, sądzę, że da też trochę słońca, aby one mogły wzrastać".*

Ostatni kurs w seminarium upłynął bardzo szybko. W dniu 5 kwietnia 1862 roku Jan otrzymał diakonat. Dnia 14 lipca udał się na La Salette; tym razem w celu wstąpienia do Misjonarzy.

## **W nowicjacie**

Zgromadzenie Misjonarzy z La Salette stawiało wtedy dopiero swoje pierwsze kroki. W roku 1862 liczyło zaledwie ośmiu księży, którzy byli bardzo przeciążeni pracą. Ponadto zarysowały się wśród nich dwie różne tendencje. Jedni chcieli prowadzić życie apostołskie na wzór Jezuitów, inni zaś byli zwolennikami życia kontemplacyjnego i pokutnego na wzór Kartuzów.

W takiej chwili i w takich okolicznościach Jan Berthier rozpoczął swój nowicjat w Zgromadzeniu pod kierunkiem O. Girauda. Był to kapłan zdolny i świątobliwy o głębokim życiu wewnętrznym. Był zwolennikiem prowadzenia przez Misjonarzy z La Salette życia kontemplacyjnego. Twierdził, że Maryja żąda od swoich misjonarzy ofiary przebiegającej z życia na rzecz tych dusz, które tej ofiary potrzebują: *"Bóg pragnie zadośćuczynienia za popełnione grzechy, a ważnym środkiem wynagradzającym jest ofiara".*

Do 20 września 1862 roku Jan Berthier odbywał postulat i przygotowywał się do przyjęcia święceń kapłańskich. Święcenia kapłańskie otrzymał w dniu 20 września z rąk biskupa Ginoulhiac w jego prywatnej kaplicy w pałacu biskupim w Grenoble. Mszę św. prymicyjną odprawił następnego dnia w kaplicy Misjonarzy w Grenoble.

Po święceniach kapłańskich rozpoczął się jego kanoniczny nowicjat. Odbywał go w Grenoble, gdyż słabe zdrowie nie pozwalało mu przebywać na górze La Salette. Był często sam, gdyż Mistrz nowicjatu często wyjeżdżał z miasta w celach apostołskich.

W kwietniu 1863 roku ciężko zachorował. Pluł krwią i był bardzo osłabiony. Poradzono mu, żeby się udał do Châtonnay na wypoczynek i rekonwalescencję. Udał się tam z bólem serca. Jednak już 2 czerwca pojawił się znowu w Grenoble, chociaż nie czuł się jeszcze dobrze. Widząc jego słabość, jeden z ojców powiedział bez ogródek, że byłoby lepiej, gdyby zrezygnował z przynależności do Zgromadzenia. Znalazł jednak poparcie u O. Archiera i u ks. Orcela, którzy znaleźli mu spokojne miejsce w domu hrabiny de Chabons.

Młody kapłan dał się tam poznać jako człowiek surowy i rygorysta. Jego zasadą było: *"Dla każdego być uprzejmym, ale z nikim się nie spoufalać"*. Bardziej był przekonany do bojaźni Bożej niż do miłości. Powoli jednak zaczął się zmieniać. W tej przemianie ważną rolę odegrała sama pani Chabons, głęboko pobożna i dobra chrześcijanka. Była przykładem życia chrześcijańskiego i miłości bliźniego.

Przebywał tam trzy i pół miesiąca, pełniąc funkcję kapelana domowego, a później towarzyszył również markizowi de Quinsonas, bratu Hrabiny de Chabons.

Po dwóch miesiącach pobytu u markiza powrócił do Grenoble, ale po paru tygodniach wysłano go znowu na dalszą kurację do klasztoru Kartuzów w Valbonne, gdzie zdrowy klimat, świeże powietrze oraz spokój i cisza klasztorna pomogły mu wzmocnić osłabione zdrowie. Kompletnie powrócił do zdrowia i mocno stanął na nogach jednak dopiero wtedy, gdy zamienił ciszę klasztorną na ruchliwą działalność duszpasterską.

Na wiosnę 1864 roku ks. Berthier został mianowany wikariuszem w parafii Veyssilieu w północnym Delfinacie. Parafia liczyła tylko czterysta dusz i była nieco zaniedbana z powodu słabego zdrowia duszpasterza. Młody wikary objął wkrótce swoją działalnością wszystkich wiernych, zarówno starszych jak i młodych. Zaczął regularnie odwiedzać wszystkie rodziny. Zakładał różne stowarzyszenia. Nauczał religii młodzież. Urządzał w parafii dni skupienia i rekolekcje ze spowiedzią generalną, szczególnie dla mężczyzn. Założył chór kościelny.

Oto jak on sam o tym opowiada: *"Gdy jako młody kapłan byłem na krótki czas zaangażowany w parafii, w której proboszcz chorował, znałem wszystkie dzieci w parafii po imieniu. Często odwiedzałem rodziny. Gdy jakieś dziecko zaniedbało lekcje religii, odwiedziłem następnego dnia jego rodziców. Gdy jakaś dziewczyna poszła na zabawę do drugiej wioski, bo we własnej nie odważyłaby się na to, poszedłem do jej rodziców i musiała wobec nich przyrzec mi, że już więcej tam nie pójdzie. Gdy chciałem urządzać Komunię świętą dla mężczyzn, zapraszałem ich już tydzień naprzód i jeszcze raz wieczorem w przeddzień tej uroczystości. W ten sposób wytworzył się zwyczaj, że w święta Wniebowstąpienia Pańskiego i Bożego Ciała mężczyźni przystępowali do Komunii św. generalnej. Powinniśmy szukać ludzi, a nie czekać, aż do nas przyjdą. Ludzie nie przychodzą masowo do Boga. Musimy każdego poszczególnego wiernego zdobywać oddzielnie: mężczyzn, kobiety, młodzież i dzieci. Inne sposoby duszpasterzowania są błędne albo przynajmniej niewystarczające. Mając 24 lata, sam jeden przeprowadziłem tam misje święte. Bałem się wtedy jak nigdy, ale jednak odwiedziłem wszystkich. Widziałem, że taka metoda była konieczna".* Wydawało się, że młody kapłan chce teraz szybko nadrobić "czas stracony" przez chorobę. Rozpoczął bowiem wtedy swoją intensywną działalność pisarską. Sam później opowiadał jak do tego doszło: *"W pierwszym roku po moich święceniach kapłańskich poważnie zachorowałem. Dziś muszę uczciwie powiedzieć, że choroba ta była dla mnie łaską, bo przyczyniła się do zapoczątkowania tego, co mogę nazwać "odrobiną dobra", jakiej udało mi się dokonać. Ponieważ byłem niezdolny do pracy duszpasterskiej na większą skalę, powiedział mi jeden z naszych misjonarzy, który należał do zarządu Zgromadzenia: „Spróbuj coś napisać, bo przecież musisz coś robić”. Usłuchałem go i zacząłem zbierać materiały do pracy pisarskiej. Przedtem o pisarstwie nie myślałem - bardzo ciągnęło mnie do duszpasterstwa. W czasie mojej choroby nabrałem jednak zamiłowania do tego rodzaju pracy. Tak rozpoczęła się ta odrobina dobra, którego udało mi się dokonać"*.

Pierwszą jego książką była: "Matka według Serca Bożego". Autor omawia w niej obowiązki chrześcijańskiej matki i jej zbawienny wpływ na dzieci i na otoczenie. Wzorem była dla niego chrześcijańska postawa hrabiny de Chabons.

W Veyssilieu przebywał piętnaście miesięcy. Dzięki jego gorliwości ożyło tam znowu życie religijne. Ks. proboszcz Douare niechętnie zgadzał się na jego odejście i dał wyraz swojemu żalowi. Ks. Berthier napisał później do niego: *"Szczęśliwy czas, który spędziłem u ks. Proboszcza, pozostanie na zawsze w pamięci Jego duchownego syna"*.

Teraz spodziewał się, że będzie szczęśliwie kontynuował swój nowicjat. Ks. Giraud został właśnie mianowany przełożonym, równocześnie zachowując nadal obowiązki mistrza nowicjatu. Wyjechał więc zaraz do La Salette, a ks. Berthier pozostał w Grenoble i zajął się pracą nad swoją książką.

Dnia 17 sierpnia 1865 roku udał się do La Salette, żeby przez rekolekcje przygotować się do złożenia pierwszej profesji zakonnej.

W jego notatkach rekolekcyjnych czytamy co następuje: *"Bez miłości Bożej nie mogę być dobrym podwładnym. Muszę więc usilnie starać się o to, by ducha posłuszeństwa karmić duchem modlitwy. Będę więc odnosił się ze czcią do mego dobrego Ojca Przełożonego jako do tego, który jest zastępcą Boga. Modlitwa jest najpotężniejszym środkiem własnego uświęcenia, najważniejszym obowiązkiem kapłana najsilniejszym źródłem pomocy w nawracaniu grzeszników i ratowaniu dusz...*

*Panie, daj mi tę taskę - kontynuuje w formie modlitwy - abym prace duszpasterskie, które mi zleczisz, najchętniej wypełniał wśród dzieci i ubogich z miłości ku Tobie. Sam przecież dla naszego zbawienia chciałeś być małym i ubogim, a dla naszego zbudowania wybrałeś ubogich, słabych i ułomnych, i małym dzieciom kazałeś przychodzić do siebie.*

*O Boże, co za radość tkwi w możliwości służenia ubogim. Jakież pokój przynosi nam ta myśl i postanowienie zajmowania ostatniego miejsca, umiłowania pokory i unżenia. "Uczcie się ode Mnie, żem jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie pokój dla dusz waszych" - mówisz nam, Boski Zbawicielu! Duma i pycha są błędem, gdyż stwarzają nieporządek. Jakież honor stać się podobnym do Ciebie przez pokorę !"*

W dniu 8 września 1865 roku ks. Berthier złożył swoje pierwsze śluby zakonne na ręce ks. Girauda. Od tej chwili zaczął w życie swoje postanowienie wiernego wypełniania polecenia Matki Bożej: "Ogłoście to całemu mojemu ludowi".

### **Działalność misjonarska**

Z początkiem wiosny rozpoczynała się działalność misjonarzy na Świętej Górze. Początkowo były to małe grupy pielgrzymów. Ale po paru tygodniach one zjawiają się już masowo, a misjonarze pracują wtedy bez wytchnienia przez kilka miesięcy z rzędu.

Corocznie obliczano 25 do 30 tysięcy pielgrzymów w La Salette. Misjonarze opowiadali pielgrzymom historię objawienia się Matki Bożej, razem z nimi modlili się i śpiewali przy cudownym źródle, prowadzili Drogę Krzyżową, spowiadali i odprawiali Msze św. Liczba wiernych i różnorodność posług przy bardzo szczupłej liczbie kapłanów pozwalają uzmysłowić sobie ogrom pracy wykonywanej na Świętej Górze.

Ks. Berthier opowiadał później, że najważniejszą ich posługą było spowiadanie, które było *„bogatę w radosne przeżycia. Codziennie jesteśmy świadkami działania taski i często spotykamy dusze o wyjątkowej miłości do Boga"*. Gdy nadeszła jesień i minął szczyt trudów duszpasterskich na górze La Salette, misjonarze nie siedzieli z założonymi rękami, ale zaczęli wtedy głosić misję ludową w parafiach diecezji.

Cel i istota misji polegała na tym, aby nawracać grzeszników, a gorliwych chrześcijan utwierdzać w wierze. Misja trwała zwykle od dwóch do trzech tygodni. Pierwsze dni przeznaczali misjonarze na odwiedzanie rodzin i zapraszanie do uczestnictwa w misjach. Drugim ważnym etapem w misjach były nauki dla dzieci celem wyjaśniania najważniejszych prawd wiary i przygotowania ich do spowiedzi. Resztę czasu poświęcano dorosłym. Wysiłki misjonarzy zmierzały ku temu, by przygotować wiernych do dobrej spowiedzi. Temu celowi służyły nauki misyjne i różne nabożeństwa liturgiczne.

Ksiądz Berthier zdobył sobie sławę kaznodziei prostego i bezpośredniego, obdarzonego wielką zdolnością przekonywania i zdobywania serc słuchaczy. Jego zapał i gorliwość apostołska przynosiły obfite plony w duszach wiernych. Udział ks. Berthiera w głoszeniu misji był zawsze gwarancją, że misje te będą owocne.

### **Pisarz**

Pobyt ks. Berthiera w wiosce Veyssilieu zapoczątkował jego działalność pisarską, którą później kontynuował i rozwijał przez całe swoje życie.

Wiedział, że w dziedzinie religijnej panuje uparta niewiedza, a nawet złośliwa ignorancja. Pisał swoje książki, by stały się środkiem zaradczym przeciwko temu złu. Chciał dostarczyć rodzinom katolickim dobrej i pożytecznej lektury, dać do ręki materiał odpowiedni dla poszczególnych stanów, aby każdy mógł dążyć do doskonałości w swoim stanie i na zajmowanym przez siebie stanowisku. Nie można powiedzieć, że był autorem oryginalnym i wielkim stylistą, wcale też nie chciał za takiego uchodzić. Chciał dostarczyć prostemu ludowi bogaty materiał zawarty w nauce Kościoła: w dziełach Ojców Kościoła, wielkich teologów i najświetniejszych pisarzy duchowych. Można powiedzieć, że nauczał raczej niż pisał. Chciał bowiem dotrzeć w swych książkach do tych, do których nie mógł dotrzeć osobiście. Mobilizowała go do tego wielka ruchliwość kapłańska i misjonarska. Jego czytelnikami byli przeważnie prości ludzie, którzy poszukiwali głównie pokarmu duchowego i zdrowej nauki chrześcijańskiej, i tego im właśnie dostarczało pióro ks. Berthiera. Żeby ceny tych książek były dostępne również dla niezamożnych, swoim wydawcom i księgarzom stawiał zawsze warunek, by ustalali najniższą cenę za wydrukowane książki.

Ks. Prałat Lucjan Paulot, wikariusz generalny z Reims, słusznie napisał, że wszystkie dzieła i czyny ks. Berthiera noszą na sobie pieczęć duszpasterską i że ratunek oraz uświęcenie dusz były jedyną rzeczą, jaka się u niego liczyła.

Po pierwszej jego książce "Matka według Serca Bożego" przyszła wkrótce inna, przeznaczona dla chrześcijańskich dziewcząt. Napisał również: "Jaki powinien być mężczyzna?", "Jaki powinien być młodzieniec?" oraz "Książka dla dzieci". Tak więc każdy członek rodziny otrzymał książkę przeznaczoną dla siebie.

Najwartościowsze książki pisał ks. Berthier dla swoich braci w kapłaństwie. Wielką sławę u kleru francuskiego zyskał sobie przez wydanie książki p.t. "Kapłan jako misjonarz, rekolekcjonista i kaznodzieja". Dla duchowieństwa przeznaczone były również takie pozycje jak: "Kapłaństwo", "Breve Compendium Theologiae Dogmaticae et Moralis" oraz "Sententiae et Exempla Biblica", czyli uporządkowany alfabetycznie zbiór cytatów z Pisma św. według tytułów rzeczowych i imiennych.

Niektóre jego pozycje były przeznaczone do użytku w Sanktuarium w La Salette, jak: "Przewodnik dla pielgrzymów" i "Cuda w La Salette". Orędzie "Płaczącej Pani" było zawsze centralnym tematem jego apostołstwa.

Książką zasługującą na szczególną uwagę jest "Książką dla wszystkich". Jest to rodzaj katechizmu w formie opowiadania, bogato ilustrowany przykładami. Książka ta została przełożona na języki: niemiecki, angielski, włoski, holenderski, polski, hiszpański i portugalski.

Kardynał Langenieux, jego protektor, tak napisał w roku 1896: *"Jak to możliwe, że Ksiądz przy tylu różnych obowiązkach potrafi pisać tak wielkie i poważne dzieła? Z pewnością sprawia to Matka Boża..."*

## Rozdział V - NIEUSTANNE ZAANGAŻOWANIE

Ks. Berthier jako pisarz i jako misjonarz nieustrudzenie zwracał uwagę swoich czytelników i słuchaczy na sprawę, która mu szczególnie leżała na sercu. Dzieła apostołstwa i ewangelizacji świata brakowało ludzkich sił. Trzy czwarte całej ludzkości jeszcze nic nie wie o Chrystusie, a tylko ósma jej część należy do Kościoła Katolickiego.

Jest świadomy, że "żniwo jest wielkie, ale robotników mało" i pragnie się osobiście przyczynić do rozwiązania tego problemu Kościoła i do głoszenia Ewangelii.

Od czego jest uzależniony brak powołań? Czy jest coś lepszego niż poświęcenie własnego życia na służbę Bogu?

Według niego drogą prowadzącą do rozwiązania tego problemu jest ewangelizacja rodzin. Argumentował, że powołania kiełkują w rodzinach autentycznie chrześcijańskich, ponieważ silna wiara jest najważniejszym fundamentem nadprzyrodzonego powołania. Bóg daje łaskę, ale to człowiek decyduje przez odpowiedź na to wezwanie. Wielu młodych ludzi nie myśli o kapłaństwie ani o zakonie, gdyż nikt z nimi na ten temat nie rozmawia. *"Żadne inne dzieło w naszej pracy duszpasterskiej nie jest tak palące, jak budzenie powołań, pielęgnowanie ich i dopomaganie do ich rozwoju"*. W to dzieło zaangażował ks. Jan Berthier całe swoje życie kapłańskie, misjonarskie i pisarskie. Temu dziełu poświęcił całą swoją energię i wszystkie swoje zdolności.

Już jako młody kapłan wygłosił w kaplicy misjonarzy Saletynów szereg konferencji o powołaniu, które znalazły wielki oddźwięk w sercach i umysłach współbraci, i które w roku 1874 na ich prośbę ogłosił drukiem, dając im tytuł: "Wybór stanu a powołanie". Książka ta ukazała się w Rzymie, gdyż ks. Berthier dał ją do oceny papieskiemu teologowi O. Gotti, który oddał ją do druku w wydawnictwie Rozkrzewiania Wiary w Rzymie. Ta sama książka została później wydana pod tytułem: "Jakie jest moje powołanie?" w formie dialogu między misjonarzem a jego małym przyjacielem Teofilem i przystosowana do mentalności prostego ludu.

W roku 1892 opublikował dzieło pt. "Stan zakonny". Jest to podręcznik dla osób zakonnych i tych, którzy nimi kierują. Natomiast w roku 1902 wyszło dziełko ks. Berthiera przeznaczone dla kapłanów, zakonników i wiernych pt. "Błogostawieni czystego serca". Traktuje ono o zachowaniu doskonałej czystości w stanie zakonnym i w życiu świeckim.

Ks. Jan Berthier, podobnie jak św. Alfons Liguori i św. Franciszek Salezy, był przekonany, że jeden człowiek doskonały jest miłszy Bogu, niż tysiące niedoskonałych i że jeden święty więcej przyczynia się do chwały Bożej, niż tysiące zwykłych chrześcijan. Pomnożenie takich dusz elitarnych stanowi ratunek dla świata. Powiedział też: *"Nie*

*bójmy się ustawicznego zachęcania dusz do życia doskonałego. Tak przecież czynił nasz Pan".*

## **Rozdział VI - ORGANIZATOR I PIONIER**

Do roku 1876 Misjonarze Saletyni rządili się jedynie tymczasową regułą i nie było między nimi jednoci odnośnie celu, pracy i zadań oraz modelu życia.

W roku 1874 ks. Giraud po raz czwarty został wybrany przełożonym. W rok później rzekł się jednak tego urzędu, a przełożonym zostały wybrany ks. Archier. Za jego rządów została zredagowana nowa reguła, którą w październiku 1876 zatwierdził biskup Fava. Stworzono w ten sposób możliwość rozwoju Zgromadzenia także poza granicami diecezji Grenoble.

Zgromadzenie Misjonarzy Saletynów liczyło wówczas tylko 11 kapłanów. Młodszy kapłani wystąpili z propozycją założenia niższego seminarium duchownego celem werbowania nowych członków dla Zgromadzenia. Zadanie zorganizowania niższego seminarium powierzono ks. Berthierowi. Celem bliższego zapoznania się z organizacją i pracą tego rodzaju zakładu zwiedził ks. Berthier Niższe Seminarium Duchowne OO. Jezuitów w Avignonie założone przez O. Albericha de Forestas.

W lipcowym numerze "Roczników Naszej Pani z La Salette" donosi ks. Berthier o bliskim otwarciu nowego zakładu kształcenia przyszłych misjonarzy. W okresie wielkiego napływu pielgrzymów studenci będą mieszkali przy sanktuarium na Świętej Górze. Przez pozostałą część roku będą przebywać w domu św. Józefa w Corps.

Dnia 5 sierpnia 1876 roku niższe seminarium rozpoczęło swą działalność. Początkowo było piętnastu uczniów. Ich dzień rozpoczynał się o godzinie 4.30. Modlitwa, nauka i praca zajmowały im wszystkich czas. Nie było miejsca na nudę. Uczyli się także podczas wakacji i w ten sposób mogli skracać czas nauki.

Ks. Berthier pisał: *"Najczęściej nawet sami nie musimy oświadczać, że nie możemy zatrzymać chłopca i będzie musiał wrócić do rodziców. Zwykłe sam to wyczuwa. Pobożność kolegów, dość surowy porządek dzienny, wyrzeczenie się spędzania wakacji w domu rodzinnym, umiowanie życia seminaryjnego - na to wszystko mogą się zdobyć tylko dusze szlachetne, które zostały powołane przez Boga. Młodzi ludzie, którym nie wystarcza pociecha łaski i cnoty, które tu stanowią jedyną radość, jaką przeżywać mogą, sami odczuwają potrzebę odejścia. Te odejścia nie wpływają zresztą wcale na zmniejszanie liczby naszych przyszłych misjonarzy. Gdy jeden odchodzi, już czeka dziesięciu, którzy uważają za największe szczęście dla siebie, by do nas wstąpić, jak to widzieliśmy na zakończenie pierwszego roku szkolnego".*

W okresie napływu pielgrzymów chłopcy przynosili się do La Salette i pomagali tam w ceremoniach liturgicznych oraz w śpiewie.

Niższe seminarium rozwijało się szczęśliwie i liczyło w roku 1877 już trzydziestu uczniów. Zakład św. Józefa stał się teraz za szczytły i w sierpniu 1879 roku część studentów musiała przenieść się do Grenoble. Przed przełożonymi stanęła konieczność utworzenia wyższego seminarium czyli scholastykatu.

Na skutek antyklerykalnych wystąpień rządu francuskiego misjonarze Saletyni postanowili przenieść swoje wyższe seminarium do Szwajcarii. Za siedzibę wybrano miejscowość Leuk - Susten w kantonie Valais. W roku 1880 ks. Berthier został mianowany rektorem wyższego seminarium. Rozpoczął nowy rok szkolny w

październiku 1881 roku z trzynastoma alumnami. Rozpoczęła się nowa karta w historii jego życia. Pisał wtedy, że *"dom jest specjalnie przystosowany do poważnych studiów"*. Wokół wznosi się wieniec gór, a pod nimi rozciąga się urzekająca dolina, w której igrają błękitne fale rzeki ( Rodanu ). Do zamku należało 24 hektarów ziemi, która dobrze uprawiona, mogłaby stanowić źródło utrzymania wspólnoty.

Urządzenia domowe jeszcze przez długi czas były dość prymitywne. Nie było ogrzewania w sypialni, w sali wykładowej i w kaplicy. Przyrządzane potrawy pozostawiały również wiele do życzenia. Był to okres "bohaterskich zmagania". Należało przerobić stary zamek na użytek coraz bardziej rosnącej liczby kleryków. Należało również uprawić leżącą dotychczas ugięciem ziemię. Na owoce tej pracy nie trzeba było długo czekać. Pole zostało należycie uprawione. Potężne hale służące niegdyś jako stajnie dla koni zostały przebudowane na kaplicę. Gospodarstwo zakładu posiadało już 15 krów.

Nie brakowało oczywiście także głosów krytyki, że nieraz trzeba było pracować ponad siły, ale wszyscy zgadzali się co do tego, że panował tam dobry duch. Ks. Berthier nie miał nigdy zwyczaju marnowania czasu i nie chciał, aby jego podwładni utrzymywali się z rent, sam zaś również zawsze był "na nogach".

Liczba kleryków wzrosła do 60, a 3 czerwca 1884 roku trzech diakonów otrzymało święcenia kapłańskie. Byli oni wychowankami niższego seminarium Zgromadzenia. Próbowano również założyć niższe seminarium dla młodzieży szwajcarskiej, ale przedsięwzięcie się nie udało i trzeba było z niego zrezygnować.

W roku 1888 ks. Berthier towarzyszył ks. Archierowi do Rzymu na uroczystości jubileuszu kapłaństwa papieża Leona XIII. Ponadto mieli oni zamiar podjąć staranie o uzyskanie zatwierdzenia papieskiego dla Zgromadzenia.

W tym samym roku ks. Berthier został ponownie wybrany przełożonym w Susten, ale już w grudniu składa rezygnację. Nie wiadomo dokładnie jakie były powody tej rezygnacji. Wiele czasu poświęcał misjom, wydawaniu książek i pracy w La Salette, dlatego bardzo często był nieobecny w domu zakonnym. Powodem rezygnacji mogło być również pragnienie przekazania zarządu młodszemu pokoleniu kapłanów. Najważniejszym jednak powodem rezygnacji było prawdopodobnie to, że wielu jego współbraci okazywało niezadowolenie z jego metody formacyjnej, a w szczególności z powodu zbyt szybkiego skracania kursów nauczania, pewnej przesady w pracy fizycznej oraz zbyt dużej łagodności w dopuszczaniu kleryków do święceń.

Ks. Jan Jaouen saletyn w swojej "Historii Zgromadzenia z La Salette" sygnalizuje, że całe przygotowanie do kapłaństwa trwało tylko 8 lat, włączając w to początkowe kursy łaciny i nowicjat, dlatego też pozostawiało ono bardzo wiele do życzenia. Tak ważny czynnik w formacji młodzieży, jakim jest czas, skracano ze względu na wielką potrzebę kapłanów. Jednak ten sam autor podkreśla, że formacja ta kształtowała autentyczną osobowość i głębokiego ducha zakonnego, który jest duszą i podstawą powołania misyjnego.

W roku 1889 w Grave ks. Berthier napisze: *"szkoła ta ofiarowała Kościołowi przeszło stu kapłanów. Dzięki tej szkole powiększyło się Zgromadzenie dziesięciokrotnie i mogło przedsięwziąć nowe fundacje w diecezjach Lyon, Belley i Montpellier. Mogło się przenieść ponadto do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej"*.

## Rozdział VII - POTRZEBY MISJI A SPÓZNIONE POWOŁANIA

Szkoła apostołska kierowana przez ks. Berthiera rozwijała się znakomicie i odpowiadała swemu zadaniu. To jednak nie zadawała w zupełności ks. Berthiera. Oto jak on sam wypowiedział się na ten temat: *"Aby określić jaki jest nasz ideał, należałoby powiedzieć, że chcieliśmy przyjąć wszystkich, których Bóg powołuje do kapłaństwa i apostołatu, a nie mających ku temu odpowiednich środków materialnych i dlatego nie mogących liczyć na przyjęcie gdzie indziej. Inne zakłady są w stanie lepiej ich wykształcić. Nie zazdrościmy im tego, owszem, posyłamy im nawet tych, którzy się do nas zgłaszają. Ale jest rzeczą bolesną, że w czasach, gdy skarżymy się na brak powołań, istnieje tak wielka liczba młodych ludzi, w których tkwi zalążek powołania, nie mogą go jednak zrealizować, ponieważ ich rodzicom brakuje do tego środków materialnych. Tu trzeba coś przedsięwziąć... W przyszłości na pewno przyniesie wspaniałe owoce. Nie dopuśćmy do tego, aby zalążki powołań misyjnych, które Bóg sam złożył w młodych duszach, były w zarodku stłumione! Choć ludzie ci są biedni w środku materialne, to jednak są bogaci przez skarb swego powołania. Ten dar Boży należy odpowiednio docenić, należy znaleźć w nim właściwą wartość".*

Idee ks. Berthiera były bardzo zbliżone do poglądów ks. Rorestas'a, znanego twórcy szkół apostołskich. Ks. Berthier był zainteresowany nie tylko tym, by zdobyć nowych członków dla Zgromadzenia, ale niezależnie od tego troszczył się o powołania w ogóle, które z tych czy innych względów nie mogą być urzeczywistnione. Jego doświadczenie jako misjonarza ludowego zaostrzyły jeszcze tę troskę i myśli. Wiedział, że Wikariusze Apostołscy błagali coraz częściej o pomocników i misjonarzy. Zdawał sobie również sprawę, że liczba niewiernych ciągle wzrasta i liczy jeszcze 6/8 całej ludzkości. Z drugiej strony spotkał wielką liczbę chłopców i młodzieńców, którzy chętnie zostaliby kapłanami i misjonarzami, ale z powodu spóźnionego wieku nie mieli żadnej perspektywy na przyjęcie do któregośkolwiek z istniejących zakładów. Chłopcom powyżej czternastego roku życia trudno było dostać się do jakiejś szkoły. Dla młodzieńców po dwudziestym roku życia było to już wprost niemożliwe. Gdyby ludzie ze spóźnionym powołaniem dysponowali wystarczającymi środkami, mogliby jeszcze znaleźć dla siebie jakąś drogę. Najczęściej jednak brakowało tych środków materialnych, i tym samym zostali oni wykluczeni od kapłaństwa na zawsze. Czemu ci młodzi ludzie nie mieliby zostać kapłanami?

Ks. Berthier stawał zawsze w obronie takich spóźnionych powołań i przyjął już do szkoły apostołskiej w La Salette kilku młodzieńców mających już ponad szesnaście lat, a nawet dwadzieścia lat. Osiągnął zadawalające wyniki. Okazało się, że są oni "dojrzałsi i mają rozum bystrzejszy. Mogą sobie przyswoić wystarczającą wiedzę, by jako kapłani działać wiele dobrego. Wiedzą o wiele lepiej, czego chcą, aniżeli dzieci". Ks. Berthier nie lekceważył bynajmniej młodych powołań, do których zresztą sam należał. Dowodem na to, że spóźnione powołania są wartościowe, byli wszyscy Apostołowie, a ponadto tacy wielcy Święci, jak św. Ignacy Loyola, św. Kamil Lellis, oraz święty proboszcz z Ars, Jan Vianney.

Ks. Berthier nie był pierwszym ani jedynym, który podjął się takiego dzieła. W roku 1876 św. Jan Bosko założył w Turynie "Dzieło synów Maryi Wspomożycielki Wiernych dla spóźnionych powołań". Także we Francji powstało w roku 1890 kilka domów studiów dla spóźnionych powołań. Było ich jednak stanowczo za mało, a jeżeli chodzi o spóźnione powołania misyjne, to wcale ich nie było.

Doszło więc do tego, że w jego umyśle zaczął dojrzewać plan zaspokojenia tych potrzeb przez założenie odpowiedniego instytutu, który pomógłby wielu powołanym osiągnąć święcenia kapłańskie.

Rozważając poważnie te sprawy, ks. Berthier szedł nie tylko za porywem swego gorliwego i ofiarnego serca kapłańskiego, ale przede wszystkim za wezwaniem Płaczącej Pani z La Salette oraz za pragnieniem Ojca świętego Leona XIII. Założenie nowego dzieła leżało w jego mniemaniu całkowicie po linii postannictwa i nakazu Maryi, z którym zwróciła się do dzieci, aby przekazały je całemu ludowi.

W grudniu 1880 roku ukazała się Encyklika "Sancta Dei Civitas" na temat stowarzyszenia Rozkrzewiania Wiary Świętej. Papież Leon XIII wskazywał w niej na wielki i trwały brak misjonarzy. Zachęca również do większego zainteresowania się sprawami misji. Słowa Papieża wywarły na ks. Berthierze tak głębokie wrażenie, że zamieścił później obszernie fragmenty tej Encykliki w "Konstytucjach i Zwyczajach" Zgromadzenia, które założył.

Myśl o licznych spóźnionych powołaniach, które marnują się pomimo wielkiego braku misjonarzy, nie dawała mu spokoju. Oto co pisze po wielu latach jeden z jego wychowanków: *"Problem szerzenia chwały Bożej przez ratowanie niewiernych zaprzętał go usilnie i angażował całkowicie"*. Wszystko wskazuje na to, że ks. Berthier już w roku 1893 dokładnie wiedział, czego chciał i swoje plany, przynajmniej w grubszych zarysach, miał już opracowane.

W roku 1894 papież Leon XIII, z okazji swego złotego jubileuszu sakry biskupiej, wydał pismo apostolskie "Praelara gratulationis", w którym jeszcze raz wyraził swoją pasterską troskę w związku z brakiem misjonarzy. Pismo to było dla ks. Berthiera nowym potężnym bodźcem do urzeczywistnienia własnych planów. Pierwszoplanowym jego założeniem było, aby kandydaci zgłaszający się do Zgromadzenia byli gotowi przyjąć nowy sposób życia i zgodzić się na formację zakonną, żeby zostać członkami społeczności zakonnej. Dzieło, które chciał powołać do życia, zyskiwałoby jeszcze, gdyby można było od kandydatów uzyskać od razu zgodę na opuszczenie majątku, rodziny i Ojczyzny dla większej chwały Bożej i zbawienia dusz. Chciał swoim przyszłym misjonarzom dać jako pomoc na dalszą drogę życia nieocenione podwaliny ducha zakonnego, ćwicząc ich w zachowaniu rad ewangelicznych, w opanowaniu siebie i w poświęceniu. Powinno to przysporzyć im wiele sukcesów nie tylko w osobistym życiu duchowym, ale i w ich apostolskiej działalności. Określił to w następujący sposób: *"Mężami apostolskimi, którzy dokonali najpotężniejszych dzieł w słowie i w czynie, byli zawsze ci, którzy siebie samych najbardziej umieli opanować i trzymać się możliwie najdalej od ducha tego świata"*.

Domom studiów oraz społecznościom zakonnym, które zamierzał założyć, chciał ponadto z góry nadać charakter międzynarodowy, albo lepiej "ponadnarodowy". Narodowość nie powinna odgrywać żadnej roli. *"Chodzi o sprawę Bożą - mawiał - a ona ma charakter uniwersalny"*. Była to więc koncepcja międzynarodowego instytutu dla spóźnionych powołań, przede wszystkim zaś powołań biednych.

Ks. Berthier, jako zakonnik, musiał oczywiście przedłożyć swoje plany przełożonym do zatwierdzenia. Można było z góry przypuszczać, że nie znajdzie u nich pełnego i należytego zrozumienia. Początkowo wyobrażał sobie, że będzie to dzieło w ramach jego własnego Zgromadzenia; że fundację przejmie to zgromadzenie i nowy instytut dla spóźnionych powołań będzie dostarczał kandydatów na misjonarzy dla

księży Saletynów. Taki był projekt przedstawiony przełożonym. Oni jednak nie chcieli czy nie mogli wyrazić na to swej zgody, prawdopodobnie z trzech powodów:

- Uważali proponowane dzieło za przedsięwzięcie zbyt ryzykowne.
- Uważali, że nowe dzieło przysporzy im nowych zajęć, które będą dla nich przeszkodą w głoszeniu misji i w duszpasterstwie w sanktuarium w La Salette.
- W końcu przyczyniły się do tego różne rozbieżności, które powstały pomiędzy ks. Berthierem i niektórymi członkami Zgromadzenia w odniesieniu do studiów i formacji.

Pomimo tej negatywnej decyzji ks. Berthier nie zrezygnował ze swych planów. W ramach posłuszeństwa zakonnego opracował dokładnie projekt i przedstawił go do oceny doświadczonym doradcom, a następnie odwołał się do wyższej instancji kościelnej. Skoro stało się rzeczą oczywistą, że założenie nowego dzieła w ramach własnego Zgromadzenia było niemożliwe, jego myśli skierowały się na możliwość założenia nowego instytutu całkowicie niezależnego, ukierunkowanego na formację spóźnionych powołań. Doszedł do wniosku, że założenie nowego zgromadzenia zakonnego będzie nawet korzystniejsze dla samego dzieła i może przynieść obfitsze owoce dla pracy misyjnej Kościoła. Niezależny instytut da większą rękojmię, że realizacja wytkniętego celu nie napotka na nieprzewidziane przeszkody, a cała jego działalność będzie nastawiona bez reszty na urzeczywistnienie zamierzonego celu.

Ks. Berthier postanowił oddać przyszłe zgromadzenie zakonne pod opiekę św. Rodziny. Sądził, że nie ma innego i lepszego środka łączącego w jedno ludzi z rozmaitych środowisk i różnego pochodzenia etnicznego, jak tylko ukochanie tego samego ideału oraz przynależność do tej samej rodziny. W świętej Rodzinie znajdujemy życie ukryte, ciche, pokorne i posłuszne. Tam znajdujemy także ducha pracowitości, głęboką pobożność i zgodę przepętnioną miłością. Tego ducha chciał ks. Berthier urzeczywistnić, w miarę możliwości, w swojej nowej fundacji. Nowy instytut miał tworzyć społeczność, w której mieli wzrastać przyszli kapłani, i pod troskliwym okiem Maryi i Józefa troszczyć się jak Jezus o sprawy Ojca Niebieskiego. Ks. Berthier ulegał szczególnie urokowi skromności i ciszy Domku Nazaretańskiego. Starał się te cnoty nazaretańskie w miarę możliwości naśladować.

Tak oto pisał o swoich uczuciach i dążeniach: *"Twierdzimy, że żadne inne nabożeństwo nie zdoła bardziej przyczynić się do wychowania zakonników i misjonarzy, jak nabożeństwo do Najświętszej Rodziny. W życiu cichym, skromnym i ukrytym rozwijają się cnoty, które stanowią fundament wszystkich dzieł gorliwości religijnej. Życie ukryte, z dala od kontaktu ze światem, jest najlepszym przygotowaniem do życia apostołskiego"*.

Misje zagraniczne miały stanowić najważniejszą, choć nie wyłączną, dziedzinę działalności Misjonarzy św. Rodziny. Tymczasem należało zająć się całkowicie wychowaniem i wykształceniem przyszłych misjonarzy. W tym celu należy otworzyć dom formacyjny w odpowiednim miejscu i warunkach, aby mógł się bezpiecznie rozwijać. Kiedy z tego domu wyjdą pierwsi kapłani, należy otworzyć inne domy formacyjne, w których mogliby oni formować dalsze szeregi kapłańskie. Dla tych nowych fundacji należałoby wybrać takie regiony katolickie, gdzie żywa wiara i zdrowe rodziny katolickie rokowałyby nadzieję stałego napływu powołań kapłańskich i misyjnych. Kiedy ten prowizoryczny cel zostanie osiągnięty, będzie można przejąć działalność misyjną i uformowanych misjonarzy oddać do dyspozycji Stolicy Apostolskiej. W pewnych przypadkach Misjonarze św. Rodziny mogą również prowadzić rekolekcje i misje krajowe, a na życzenie biskupów także parafie, w których

uprawialiby duszpasterstwo zwyczajne. Jakikolwiek rodzaj apostołstwa uprawiałoby Zgromadzenie, to jednak formacja spóźnionych powołań pozostanie zawsze najważniejszym zadaniem Misjonarzy św. Rodziny.

Aby pozyskać nowych członków dla Zgromadzenia należy tak rozplanować pracę, aby spóźnionym powołaniom dać zawsze możliwość osiągnięcia upragnionego celu. Właśnie do zrealizowania takiego dzieła czuł się ks. Berthier powołanym i jemu chciał poświęcić dalsze lata swego życia. Plan ten przemyślał, dokładnie omówił z ks. Archierem, i miał zamiar przystąpić do jego realizacji.

## **Rozdział VIII - PAPIEŻ UDZIELA BŁOGOSŁAWIEŃSTWA**

W sprawie realizacji swoich planów ks. Berthier zwrócił się najpierw do Rzymu. Później wyjaśnił, dlaczego tak uczynił: *"Zanim przystąpiłem do wykonania mojego planu, należało przedstawić go zastępcy Chrystusa na ziemi. On jest ogniskiem wszelkiego apostołstwa Jego błogosławieństwo daje rękojmię, że także błogosławieństwo Boże spocznie na tym przedsięwzięciu"*.

Zrozumiał jednak, że konieczne jest pośrednictwo dostojnika wysokiej rangi. Postanowił więc szukać pomocy u arcybiskupa z Reims, kardynała Benoit Marie Langénieux.

Pierwsze kontakty z nim umożliwiła ks. Berthierowi jego znajoma, pani Barbe, zamieszkała w Reims. Ks. Berthier wiedział, że kardynał był czołową postacią w hierarchii Kościoła francuskiego i wyczuwał w jego osobie pokrewną duszę, gdyż znany był powszechnie jako wybitny duszpasterz.

W listopadzie 1893 roku ks. Berthier głosił rekolekcje dla sióstr Szarytek (Wincentek) w Reims, i wtedy właśnie przedstawił swój plan kardynałowi. Ten odpowiedział: *"Będziemy się o to modlić. Nie śpieszmy się zanadto do dzieła. Czas przyniesie światło i radę; porozmawiamy jeszcze na ten temat"*.

W rok później ks. Berthier otrzymał z Reims zaproszenie, by w dniach 20 - 24 sierpnia wygłosił rekolekcje dla duchowieństwa Archidiecezji, w których uczestniczył sam kardynał Langénieux. Przy tej okazji ks. Berthier prosił kardynała, żeby jego plan przedstawił w Rzymie. Kardynał odpowiedział: *"Ojciec, ja się tego podejmę. Może ojciec na mnie liczyć. Dokonam tego szybko i skutecznie. Za kilka miesięcy muszę być w Rzymie. Porozmawiam z kardynałem Sekretarzem Stanu, który może być ojcu pomocny"*.

W dwa miesiące później kardynał brał udział w spotkaniu Patriarchów Wschodu. W dniu 10 listopada wysłał do ks. Berthiera telegram, że go niezwłocznie oczekuje w Rzymie.

Ks. Berthier, jako asystent generalny swojego zgromadzenia, brał wtedy udział w odbywającej się Kapitule Generalnej. Obrady zostały przerwane na czas pobytu ks. Berthiera w Rzymie. Ten przedstawił się dnia 13 listopada w Sekretariacie Stanu. Sekretarz Stanu, kardynał Rampolla, przyjął ks. Berthiera z ujmującą życzliwością i z zainteresowaniem wysłuchał przedstawionego planu. W końcu odpowiedział: *"To jest natchnienie, odpowiadające mojej trosce, która już dawno nie daje mi spokoju. To jest trudne przedsięwzięcie, wiem o tym, ale krzyż jest znakiem rozpoznawczym i podstawą wszystkich wielkich dzieł. Jest wiele szlachetnych i dzielnych dusz w takim wieku, że*

*jeszcze mogą zostać kapłanami".* Słowa kardynała podniosły bardzo ks. Berthiera na duchu.

Sekretarz Stanu prosił ks. Berthiera o przekazanie mu prośby i planu nowego dzieła na piśmie celem przedstawienia go Ojcu świętemu. Ten wręczył kardynałowi w dniu 14 listopada żądane pismo, i udał się w drogę powrotną do La Salette, wiedząc, że jego sprawa znajduje się w dobrych rękach. Tego samego dnia Sekretarz Stanu przedłożył Ojcu świętemu Leonowi XIII plan założenia nowego zgromadzenia zakonnego. Następnego dnia Papież przyjął kardynała Langénieux na audiencji pożegnalnej. Zachował się list kardynała Langénieux do generała Saletynów, ks. Chapuy w sprawie ks. Berthiera, w którym kardynał pisze: *"Jest rzeczywistą prawdą, że Ojciec św. zgodził się na fundację dla spóźnionych powołań przez dobrego ks. Berthiera. Pochwalił dzieło, zachęcił do jego rozpoczęcia i udzielił mu swego błogosławieństwa. Ten mąż Boży przedstawił swój plan Kardynałowi Sekretarzowi Stanu. Kardynał widział w nim dzieło i natchnienie Boże, które odpowiada jego własnym myślom, chętnie się również podjął obowiązku przedstawienia tego planu Ojcu świętemu. W dniu następnym byłem osobiście na audiencji pożegnalnej. Wielka i niespodziewana była moja radość, gdy zauważyłem, że Papież jest już doskonale poinformowany o całej sprawie. Był do niej przychylnie nastawiony i zachęcał do szybkiego rozpoczęcia dzieła. "To jest dzieło odpowiadające obecnym czasom - powiedział Jego Świątobliwość - życzę sobie, aby jak najrychlej było założone". Następnie zaproponował mi Ojciec św. w swojej niezwyklej dobroci, abym wziął to dzieło pod szczególną opiekę i był pomocny Ojcu Berthierowi. Gdy pozwoliłem sobie na wyrażenie pewnych zastrzeżeń z mej strony, uchylił on je i otrzymałem od Zastępcy Jezusa Chrystusa wszystkie potrzebne pełnomocnictwa, aby umożliwić ks. Berthierowi wejście na drogę, na którą wzywa go jego gorliwość i niedwuznaczne znaki Opatrzności. Czcigodny Ojcze! Proszę bez namysłu popierać to przedsięwzięcie. Przy tym Zgromadzenie znajdzie nową okazję i sposób służenia Kościołowi. Nie potrzebuje przy tym ponosić żadnych innych ofiar, jak tylko to, by jednemu ze swoich członków pozwolić, by poszedł drogą wskazaną mu przez Boga. Takiego zdania jest Stolica Święta. Zostało to, Czcigodny Ojcze, zatwierdzone w Rzymie i czuję się szczęśliwy, że mogę to Ojcu zakomunikować".*

Kapituła Generalna w międzyczasie przystąpiła ponownie do obrad. W dzień zakończenia Kapituły przystąpiono do wyborów na najważniejsze urzędy w Zgromadzeniu. Ks. Berthier oświadczył ojcu Generałowi, że gotów jest zrezygnować z ewentualnych urzędów, aby móc oddać wszystkie swoje siły nowej fundacji. Ks. Chapuy uważał jednak za wskazane, by ks. Berthier pozostał jeszcze do dyspozycji. Ten uległ życzeniu swego przełożonego.

Po zakończeniu Kapituły rozpoczął ks. Berthier natychmiast konieczne przygotowania do szybkiego urzeczywistnienia swego planu. Fakt, że liczył już prawie pięćdziesiąt pięć lat życia i nie miał silnego zdrowia, uważał za wystarczający powód by nie tracić ani chwili potrzebnego czasu. Trudności były olbrzymie, ale fakt, że jego plan otrzymał błogosławieństwo Ojca św. dodawał mu sił. *"Nie mogliśmy mieć skuteczniejszej pociechy i zachęty nad błogosławieństwo Ojca świętego"* - pisał, gdy już pierwsze trudności miał poza sobą. Podobną myśl wyraził później w Konstytucjach: *"Punktem wyjścia dla instytutu jest błogosławieństwo Kościoła, niech więc to będzie zachętą dla tych, których łaska Boża do niego powoła".*

Ułożeniem wspomnianych przed chwilą Konstytucji zajął się ks. Berthier w grudniu 1894 roku. Praca ta nie była dla niego nowością, gdyż w roku 1876

współpracował przy redagowaniu konstytucji Misjonarzy Saletynów. Z tych konstytucji, jak również z konstytucji Księży Jezuitów zapożyczył bardzo wiele dla swoich konstytucji, z wyjątkiem tych przepisów, które odnosiły się do szczególnego charakteru nowego Zgromadzenia, a mianowicie: zaangażowanie w formację spóźnionych powołań, oraz nabożeństwo i naśladowanie św. Rodziny. Taka była metoda jego pracy, że wolał dopuszczać do głosu znanych i doświadczonych nauczycieli, niż rozwijać własne myśli. Najlepiej oprzeć się na regułach zakonnych, które już wytrzymały próbę czasu i zostały uznane przez Kościół za wartościowe.

Zdawał sobie sprawę z tego, że przed nim jest jeszcze ogromna praca i wyraził to w liście do kardynała Langénieux: *"Niech mi Wasza Eminencja pozwoli na podstawie otrzymanych pełnomocnictw od Ojca świętego, abym mógł starać się o środki pieniężne i werbować kandydatów do nowego instytutu; proszę o pozwolenie na składanie pieniędzy aż do czasu ich użycia, do odkładania rocznych dochodów na ten cel, do użycia na te cel spadku po rodzicach, względnie dokonania zamiany (z powodu ślubu ubóstwa nie mogę tej transakcji dokonać od siebie...), o użycie dla tej fundacji mojego czasu i odpowiednich sum pieniężnych na podróże; o prawo szukania za granicą odpowiedniego domu na ten cel, wydzierżawienia go lub zakupu, ale bez większego długu, którego bym nie mógł wkrótce spłacić, abym jako dobry ojciec rodziny, mógł podjąć odpowiednie i miarodajne kroki dla zdobycia środków utrzymania domu; do tego proszę dla fundacji o połowę dochodu, jaki przynoszą moje książki, drugą połowę pozostawiam do dyspozycji mojemu Zgromadzeniu. Skoro tylko otrzymam potrzebne pełnomocnictwa a szczególnie pozwolenia, zamierzam odważnie przystąpić do dzieła. Oby tylko Bóg dał mi odpowiednie siły"*.

Wnet powstały trudności i nieporozumienia pomiędzy ks. Berthierem i jego przełożonymi. Ks. Berthier był jednym z najdzielniejszych i najbardziej poszukiwanych misjonarzy. Obawiano się, że Zgromadzenie utraci jedną z najlepszych sił, szczególnie w sanktuarium w La Salette. Ponadto zgromadzenie zakonne Saletynów potrzebowało wielkich dochodów materialnych, które pochodziły ze sprzedaży dzieł ks. Berthiera i z ofiar do dobrodziejów, których ks. Berthier zjednał przez swoje stosunki i znajomości. Kardynał Langénieux pisał w tej sprawie do ks. Berthiera: *"Może Ojciec powiedzieć, że otrzymał nie tylko pozwolenie na założenie instytutu dla spóźnionych powołań, ale że Ojciec święty Go do tego zobowiązał, bo uważa to dzieło za wartościowe i potrzebne na obecne czasy. Może Ojciec jeszcze dodać, że Ojciec święty, aby to przedsięwzięcie ułatwić i ukazać jak Mu na tym zależy, aby dzieło zostało podjęte, do tego stopnia zaangażował się w sprawę, że dał mi w stosunku do Ojca odpowiednie pełnomocnictwa, aby umożliwić Ojcu odpowiednią swobodę działania i postarać się o to, żeby wobec swego Zgromadzenia Ojciec był odpowiedzialny jedynie przed swoim sumieniem. Wszystkie te sprawy musi Ojciec życzliwie przedstawić swoim przełożonym i uregulować z nimi w ramach przedstawionej wyżej sytuacji. Powinni pomóc Ojcu w miarę swoich możliwości. Jeżeli tak będą postępować, będą zgodni z wolą i życzeniami Ojca Świętego, a przez ten nowy instytut uzyskają cenną pomoc dla swoich własnych przedsięwzięć oraz udział w błogostawieństwach, które będą udziałem Ojca... Ogromnie żałowałbym, gdyby Ojciec musiał wystąpić ze Zgromadzenia, co nastąpiłoby niewątpliwie w wypadku, gdyby tego wymagało postannictwo Ojca. Zgromadzenie powinno tego uniknąć, dając Mu zupełnie wolną rękę, co jest w zupełnej zgodzie z poglądami Ojca świętego, o których powiadomiłem Waszego Przełożonego Generalnego"*.

Ks. Berthier gorąco pragnął wypełnić powierzoną sobie misję, ale nawet na moment nie pomyślał o opuszczeniu swego Zgromadzenia. Zerwanie ze swoim Zgromadzeniem oznaczałoby dla niego niewierność swemu powołaniu, a tego nie chciał za nic w świecie. Wytyczne, które kardynał Langénieux przesłał ks. Berthierowi, były przeznaczone raczej dla ks. Chapuy, niż dla adresata. Zarząd zgromadzenia Saletynów zrozumiał wreszcie, że wobec tak wyraźnie określonych dyrektyw najwyższego autorytetu Kościoła trzeba ustosunkować się pozytywnie, dlatego w dniu 11 stycznia 1895 podjął następującą decyzję: *"Uchwałą Rady Generalnej pozwala się Czcigodnemu ks. Berthierowi na jego wniosek, aby mógł założyć własny instytut dla spóźnionych powołań przeznaczonych dla misji zagranicznych. Założenia tego dzieła życzy sobie Ojciec św. i zachęca do tego wraz z Jego Eminencją ks. kardynałem Langénieux"*.

W międzyczasie ks. Berthier ukończył redakcję Konstytucji i dał je kardynałowi Protektorowi do oceny i zatwierdzenia.

## **Rozdział IX - OPUSZCZONE KOSZARY W GRAVE**

W styczniu 1895 roku rozpoczął ks. Berthier starania o zdobycie własnego domu. Pewna szlachetna pani z Lyonu, Maria Alfonsyna Thivillon była gotowa pożyczyć odpowiednią sumę pieniędzy na zakup potrzebnego domu.

Pozostał jeszcze tylko problem znalezienia odpowiedniego miejsca, gdzie należałoby dokonać zakupu. Ks. Berthier pisał o tym później: *"Ponieważ przewidywaliśmy, że Francja zdecyduje się na likwidację domów zakonnych i na wypędzenie zakonników, względnie na skrępowanie ich działalności i prawa poruszania się, postanowiliśmy szukać kraju, w którym panowałoby więcej swobody"*.

Początkowo myślał o Kanadzie. Dawniejsza kolonia francuska, w którym zamieszkuje wielu Francuzów, zachowała głębszą wiarę niż kraj macierzysty. Jednak po głębszym namyśle wydawało mu się założenie domu macierzystego za oceanem przedsięwzięciem zbyt ryzykownym. Po długich wahaniach wybrał - jak się wyraził - *"gościnną i cichą Holandię"*. Miał tam dobrych przyjaciół, a między innymi p. Marcjana Brouwersa, właściciela wytwórni materiałów tekstylnych w Tilburgu, dobrodzieja zakładów misyjnych w La Salette. Znał również pannę Dorotę Mathysen, szwagierkę p. Brouwersa, pochodzącą z dobrej katolickiej rodziny, mającą zamiar wstąpienia do stanu zakonnego. Ks. Berthier bardzo jej pomógł w zrealizowaniu tego zamiaru.

W maju 1895 roku ks. Berthier pisał w jednym ze swych listów: *"Nie wiem, czy mnie kiedyś Opatrzność Boża zaprowadzi do Tilburga, ale byłoby dla mnie wielką radością, gdybym mógł znów spotkać się z Siostrą, z państwem Brouwersami i ich rodziną"*. Te właśnie znajomości pozwoliły mu udać się do Holandii.

Ks. Berthier liczył również na wydatną pomoc kardynała protektora ks. Langénieux oraz Zarządu Generalnego Misjonarzy Saletynów, który mu wystawił dokument upoważniający do zakładania nowej fundacji. Przełożony Generalny nie wyzbył się jednak jeszcze wszystkich oporów w stosunku do odejścia ks. Berthiera. W liście do kardynała Langénieux dał wyraz swoim niepokojom. Wtedy otrzymał następującą odpowiedź: *"Rozumiem waszą troskę, która wiąże się z nową fundacją. Ale to zależy w większym stopniu od Was, niż od niego, czy zostaną usunięte przyczyny tych niepokojów, i czy to, co wy uważacie za największe niebezpieczeństwo, zamieni się w*

*błogosławieństwo dla Waszego Zgromadzenia. Wasza Rada Generalna pozwoliła mi przecież na fundację, do której Leon XIII zachęcił, dał swoje błogosławieństwo, a mnie wyznaczył na protektora. Nie pozostaje więc nic innego, jak jeszcze bardziej zacieśnić więź tego znakomitego zakonnika ze zgromadzeniem, za członka którego on nadal się uważa. Zgromadzenie Wasze odniesie dla siebie korzyści z apostolskiej działalności tego męża Bożego. Niech Ojciec daje do zrozumienia przy każdej okazji i wobec wszystkich, że jest dumny, iż jeden z Jego synów duchowych, który sercem do Was należy i jednoczy się z Wami podczas pielgrzymek na świętym Miejscu, został zaszczycony tak wielkim zadaniem, które przysporzy Kościołowi i Waszemu Zgromadzeniu misjonarzy i będzie zdobywać na pół stracone, ale prawdziwe powołania, dla służby Bożej, które bez pomocy nowego zgromadzenia byłyby na zawsze stracone. Oto, czcigodny i kochany Ojciec, dobra rada, którą Ojcu daję. Wyływa ona ze szczerego i głębokiego oddania dla Ojca, Jego postannictwa i podległych Mu ludzi i spraw Jego trosce powierzonych. Będę w modlitwach prosił Boga, aby obdarzył Ojca łaską zgadzania się z tym, co najbardziej jest zgodne z Jego świętą wolą i służy Jego większej chwale".*

W dniu 20 stycznia 1895 roku ks. Berthier otrzymał z rąk ks. kardynała Langénieux dwa dokumenty: zatwierdzenie Instytut dla spóźnionych powołań i zatwierdzenie Konstytucji dla tegoż Instytutu. Kilka dni później udał się do Tilburga, gdzie czekali już na niego przyjaciele.

Został bardzo gościnnie przyjęty w klasztorze sióstr Wizytek, które otoczyły go troskliwą opieką. Zapoznał się również z ks. kanonikiem Henrykiem Brouwersem, proboszczem parafii katedralnej w Hertogenbosch, który przedstawił go biskupowi diecezjalnemu Van de Ven. Ks. Biskup przejrzał uprawnienia ks. Berthiera i powiedział uprzejmie: *"Niech Ojciec poszuka sobie w mojej diecezji odpowiedniego budynku, a ja udzielię odpowiedniego pozwolenia"*.

Ks. Berthier mógł być zadowolony z wyniku swojej podróży. Okres zimowy nie sprzyjał poszukiwaniom odpowiedniego budynku, dlatego postanowił on wrócić do Francji i poczekać na bardziej sprzyjające warunki. Przed wyjazdem napisał list do biskupa w Hertogenbosch z podziękowaniami za życzliwość i donosił, że pan Brouwers postanowił wyszukać odpowiedni obiekt dla fundacji. *"Gdy to nastąpi - pisał - wtedy będę miał zaszczyt prosić Waszą Ekscelencję i przypomnieć o realizacji wspaniałomyślnego przyrzeczenia, które zabieram ze sobą z wielkim zadowoleniem"*.

Ks. Berthier poważnie myślał o tym, aby we wrześniu tego roku mogło nastąpić otwarcie domu macierzystego nowego Zgromadzenia. Był przekonany, że w odpowiednim czasie załatwi wszystkie sprawy związane z zakupem domu i będzie mógł go przygotować na przyjęcie pierwszych kandydatów. Po powrocie do Francji zajął się sprawą propagandy, by jego plany dotarły do jak najszerszej wiadomości. Najpierw wydrukował okólnik w kilku tysiącach egzemplarzy, i przesłał go kapelanom wojskowym, rektorom seminariów, kierownikom stowarzyszeń robotniczych, a także klasztorom Karmelitanek i Klarysek. Samo werbowanie powołań to jeszcze nie wszystko. Starał się również o pomoc materialną i duchową dla przyszłego dzieła. Dlatego właśnie zwrócił się do sióstr zakonnych, aby zechciały go wspierać swoimi modlitwami w wykonywaniu tak trudnego przedsięwzięcia.

W uroczystość św. Józefa, dnia 19 marca 1895 roku przybył ponownie do Tilburga. Liczył na pomoc swoich przyjaciół, ale jeszcze więcej na pomoc św. Józefa, który jest przecież "Głową Najświętszej Rodziny". Po przybyciu na miejsce ks. Berthier zajął się poszukiwaniem odpowiedniego budynku. Zwrócono mu uwagę na pusty

zamek van Boxmeer, który był do sprzedania. Nie było to jednak to, czego szukał. Dlatego powrócił z niczym do Tilburga.

Mieszkał na plebanii "t'Heike" u proboszcza van Gennip. Nie chcąc się nikomu narzucać, trzymał się od wszystkiego z daleka. Wkrótce jednak lody zostały przełamane. Jeden z księży zwrócił uwagę ks. Berthierowi na stojące puste w Grave budynki wojskowe, które można by zaadaptować do nowych celów.

W dniu 25 marca wyruszył ks. Berthier w drogę do Grave. Miasteczko stanowiło dawniej silną twierdzę wojskową, która była otoczona wysokimi wałami i głębokimi fosami. Teraz jednak pozostały z tego jedynie kościół św. Elżbiety i monumentalny port rzeczny. Historia miasta mówi o warowniach, arsenalach i magazynach prochu. Potężna twierdza w dniach sławy i znaczenia była odwiedzana nie tylko przez książąt Orańskich Wilhelmów III i V, lecz także sam król Ludwik XIV i Napoleon uważali za konieczne, aby osobiście obejrzeć umocnienia militarne w Grave. Mieszkańcy miasteczka przeżywali jednak również i przykre dni oblężenia, głodu, chorób i różnych niewygód. Ale w roku 1895 to wszystko należało już do dalekiej przeszłości.

W roku 1892 nastąpiła demilitaryzacja miasta, gdyż garnizon wojskowy został wycofany z koszar, a zabudowania odtąd stały pustką czekając na nowe przeznaczenie. Mieszkańcy Grave nazywali je "Oosterblok" i "Infirmeria". Należały one teraz do Magistratu, który chętnie by się ich pozbył.

Burmistrz zaprowadził gościa najpierw do "Infirmerii", dawniejszego szpitala wojskowego, który prezentował się jeszcze stosunkowo przyzwoicie. Obiekt ten posiadał kilka mniejszych i większych izb. Ks. Berthier chciał obejrzeć jeszcze inne objekty. Inne pomieszczenia nie wyglądały zbyt imponująco. Szukały tu schronienia bezdomne rodziny. Według ks. Berthiera budynek nie musiał być piękny, byleby nadawał się do przeprowadzenia odpowiednich adaptacji, by można było w nim jako tako zamieszkać i urządzić w nim dom studiów dla młodzieży. Koszary te całkowicie odpowiadały tym minimalnym celom, gdyż mógł pomieścić przynajmniej stu młodych ludzi, a więc było to, czego potrzebował. Po latach ks. Berthier powiedział: *"Kiedy tu przybyłem, nie miano odwagi pokazać mi koszar. Wyglądały one zupełnie inaczej niż dzisiaj. Było bardzo ciemno, pomieszczenia były puste lub załadowane rupieciami. W jednym z nich było kilka kotłów służących do gotowania zupy dla biednych. Ale czy sądzicie, że zwracałem na to uwagę? Widziałem tylko obszerne sale i powiedziałem sobie: jak to będzie pięknie, kiedy pewnego dnia dom ten będzie zamieszkały przez kapłanów misjonarzy"*.

Do obiektu należał jeszcze kawałek ziemi wielkości jednego hektara. Było to dawniejsze pole ćwiczeń dla żołnierzy, zwane Polem Marsowym. Były tam również podziemia wałów o silnym murowanym sklepieniu, które dawniej służyły za arsenał broni i prochu, dlatego nosiły nazwę bastionu. Ks. Berthier przewidywał użyteczność tych wszystkich obiektów, dlatego postanowił kupić koszary, szpital i bastion razem z placem.

Następnego dnia Rada Miejska powzięła następującą uchwałę: *"Z upoważnienia Władz Prowincjonalnych sprzedaje się od ręki księdzu Janowi Berthierowi dawniejszy szpital wojskowy za sumę pięciu tysięcy guldenów - Koszary za sumę trzech tysięcy guldenów i Bastion Bekafza sumę 2 i pół tysiąca guldenów"*.

Dnia 28 marca ks. Berthier wypłacił burmistrzowi dwadzieścia jeden tysięcy ówczesnych franków francuskich ku obustronnej satysfakcji. Burmistrz, p. Friesen, na którego życzliwość mógł ks. Berthier teraz liczyć, myślał przede wszystkim o tym, żeby

splacić długi, które ciążyły na finansach miasta. Suma była wprawdzie nieco wygórowana, ale ks. Berthier chętnie ją zapłacił. Sądził, że szukany przez niego obiekt będzie drożej kosztował. Pisał na ten temat w broszurze wydanej w roku 1902 p.t. "Dzieło Świętej Rodziny dla spóźnionych powołań": "Św. Józef, do którego modlitwę często zalecaliśmy, zdaje się w szczególny sposób nas ochraniać. Po różnych bezskutecznych próbach poszukiwań znaleźliśmy pewien obiekt, ale ten był za drogi. Potem za zrządzeniem Opatrzności Bożej w Grave, w dawnym mieście - warowni, którą wspomina Bossuet w swojej "Historii Powszechnej", odkryliśmy obszerne koszary i szpital wojskowy. Obiekty te zostały opuszczone przez wojsko trzy lata przedtem i przeszły na własność miasta. Pan Friesen, burmistrz miasta, a później członek niższej izby deputowanych, zaproponował nam przyjaźnie i na dogodnych warunkach kupno tych dwóch budynków, ogrodu należącego do szpitala i dawnego placu ćwiczeń obok koszar.

*Za pozwoleniem i pod protektorem ks. kardynała Langénieux oddaliśmy Instytut pod opiekę św. Rodziny, która ani w Betlejem, ani na wygnaniu w Egipcie, ani też w Nazarecie nie mieszkała w pałacu. Chodziło przecież o to, by wychować misjonarzy, którzy byliby ożywieni duchem św. Rodziny. Winni oni poprzestawać na małym i dorastać do tego, by umieć podporządkować swoją własną wygodę chwale Bożej i zbawieniu dusz. Położenie wydawało nam się odpowiednie. Między Polem Marsowym a koszarami rosną wspaniałe wiązy i topole, a za dawnym placem ćwiczeń płynie majestatycznie rzeka Moza.*

*Ponieważ budynki były obszerne, a my byliśmy przekonani, że fundacja się rozwinie, podjęliśmy pod koniec marca tegoż roku decyzję zakupu wspomnianych obiektów z przyległościami, po uprzedniej zgodzie i pozwoleniu ks. Biskupa z Hertogenbosch".*

Skoro tylko ks. Berthier powrócił do Francji, zajął się natychmiast propagandą fundacji. Wysłał artykuł do pisma "L'Univers" i do katolickiej gazety "La Croix". Artykuły te ukazały się w maju 1895 roku i zostały przedrukowane przez inne katolickie czasopisma we Francji, a nawet czasopismo "Leo" w Paderborn i jedno czasopismo włoskie. W artykułach tych oraz w mniejszych ulotkach przedstawiał ks. Berthier w skróceniu swoje idee, a mianowicie potrzeby misji, problem spóźnionych powołań. Wyjaśniał cel swojej fundacji, prosił o modlitwy i zabiegał o współpracę ze strony duchowieństwa i świeckich.

Dnia 20 lipca ks. Berthier przybył znowu do Grave, aby dokonać ostatnich przygotowań. Sporządzono akt kupna - sprzedaży, który podpisał ks. Berthier i dwie panie jako współwłaścicielki wobec prawa: A. M. Thivillon i H. Coyret. Było to roztropne zabezpieczenie majątku, jaki te panie wniosły, na wypadek nieprzewidzianej katastrofy.

Pani Hermancja Coyret, która już pracowała w Leuk Suste, pragnęła uczestniczyć w zakładaniu nowej fundacji. Oddała do dyspozycji ks. Berthiera swoją osobę i swoje dobra. Ks. Berthier umiał znakomicie pozyskiwać poparcie szlachetnych kobiet dla swoich prac i rozumiał doskonale jego ważność. Już Pius IX powiedział do ks. Bosco: "Dlaczego Ksiądz nie wciąga również współpracownic do swego dzieła? Proszę ich nie wykluczać, ale zachęcić do współdziałania. Kobiety miały zawsze w Kościele wielki udział w rozwoju dzieł dobrych. One przez swoją naturę i swój charakter, oraz przez gotowość do poświęceń i przedsiębiorczość są jeszcze bardziej skłonne do dobrych

*uczynków, niż mężczyźni. Jeżeli Ksiądz tę pomoc wykluczy, utraci najwartościowszych pomocników".*

Obydwie panie natychmiast przystąpiły do dzieła. Należało wiele rzeczy poprawić i doprowadzić do porządku. Potrzebne były przynajmniej trzy sale: na kaplicę, na salę wykładową, która tymczasowo mogła służyć jako refektarz, oraz sypialnię. W dawniejszym szpitalu należało urządzić kuchnię i mieszkanie dla kobiet. Potrzebne były krzesła, stoły, łóżka do spania i ławki do kaplicy. Wykonali je stolarze z Grave. Panie otrzymały do pomocy dwie wdowy holenderskie, które sprzątały i robiły zakupy.

To dziwne grono, pełne pilności i poświęcenia, doprowadziło wkrótce ruinę do stanu używalności. Nie brakowało też humoru. Zrobiono przy okazji dość inteligentną uwagę: *"Za czasów Wielkiej Rewolucji i pierwszego Cesarstwa niektóre seminaria zostały zlikwidowane, a budynki zamieniono na koszary wojskowe. Ks. Berthier odwrócił porządek rzeczy: koszary zmienił w seminarium".*

## **Rozdział X - DUCH PIONIERSKI W GRAVE**

Po obchodach rocznicy objawienia Matki Bożej w La Salette, dnia 24 września ks. Berthier wyjechał z Grenoble. W Reims przerwał swą podróż, by odwiedzić kardynała Langénieux i otrzymać ostatnie instrukcje i błogosławieństwo do dalszej pracy. W Hertogenbosch miał jeszcze do załatwienia kilka spraw u Biskupa diecezjalnego, jak: jurysdykcja do słuchania spowiedzi, ustanowienie kaplicy, udzielanie błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem, oraz pozwolenie na otwarcie domu formacyjnego dla spóźnionych powołań. Do Grave przybył 27 września.

W koszarach zastał już oczekujących na rozpoczęcie studiów ośmiu kandydatów różnych narodowości: Francuzów, Niemców, jednego Szwajcara i jednego Luksemburczyka. Jak wszystko w życiu ks. Berthiera, tak i inauguracja nowego instytutu odbyła się w najzwyczajniejszy sposób. Niezwłocznie odwiedził ks. Berthier miejscowego proboszcza, ks. Jana Sprangersa, który z czasem stał się jego wielkim przyjacielem. Z upoważnienia ks. Biskupa poświęcił on kaplicę w obydwu budynkach.

Bezwzględnie przystąpiono do pracy. Ks. Berthier *"od pierwszego dnia odbywał razem z uczniami ćwiczenia duchowne i zaczął im udzielać lekcji. W czasie rekreacji wykonywał razem z nimi prace fizyczne, przekopywał ziemię w ogrodzie warzywnym, siał, sadił i nigdy nie zostawiał ich samych. Był przekonany, że przykład stanowi najlepszą i najskuteczniejszą metodę wychowawczą. Wieczorem po kolacji zbierali się wszyscy wokół swojego Ojca, i założywszy fartuchy, przygotowywali jarzyny i ziemniaki na dzień następnny. Było prawdziwą radością przypatrywać się, z jaką prostotą i z jakim humorem to wszystko się odbywało".*

Mając bogate doświadczenie z Corps i z Leuk - Sustem, ks. Berthier po pioniersku przystąpił do urządzania domu i ogrodu. Praca fizyczna nowych mieszkańców starych koszar wywołała dużą sensację wśród mieszkańców Grave, którzy po raz pierwszy widzieli księdza w fartuchu i w drewnianych chodakach, pracującego w ogrodzie.

Pomimo wszystkich trudności i sceptycyzmu, z jakim wielu kapłanów patrzyło na jego dzieło, ks. Berthier nie zniechęcał się. Powiedział kiedyś do swoich uczniów: *"Aby podjąć się jakiegось dzieła, trzeba całkowicie zaufać Bogu i postanowić*

*przeforsować daną sprawę bez oglądania się na opinie ludzką. Gdybym się przejmował ludzką gadaniną, nigdy nie podjąłbym się tej fundacji i was by tutaj nie było".*

Ks. Berthier pragnął uformować elitę młodych ludzi cnotliwych, pełnych poświęcenia, pobożnych, kierujących się dobrym duchem, aby dawali dobry przykład tym, którzy później przyjdą. W pierwszych latach dzieło nie postępowało zbyt naprzód. Było to ciągłe przychodzenie i odchodzenie. Ks. dziekan Sprangers porównał zakład ks. Berthiera do gołębnika: *"przyleciało 100 a odleciało 200"*. Nasz pionier nie zniechęca się niepowodzeniami. *"Św. Ignacy mawiał słusznie, że powodzenie dzieła nie zależy od liczby, lecz od ducha i dzielności jego wykonawców... Rolnik też nie oczekują że każde ziarenko zakiełkuje i urosnie, a właściciel winnicy też nie pozostawia wszystkich pędów przy winnej latorośli. Jeżeli nie odetnie złych, inne nie wydadzą owocu. Nie wszyscy, którzy do nas wstępują, wytrzymują"*.

Najbardziej podnosiło go na duchu i dodawało energii to, że otrzymywał liczne zgłoszenia do instytutu. Był przekonany, że większość z nich to autentyczne powołania.

Wreszcie w roku szkolnym 1898/99 uformowała się grupa młodych entuzjastów, o których ks. Berthier wyrażał się z nadzieją. W roku 1899 zaczął wysyłać po kilku studentów narodowości niemieckiej do ich Ojczyzny dla propagowania tam swego instytutu dla spóźnionych powołań.

Ks. Berthier zapewniał często, iż nigdy nie żałował tego, że swoje dzieło rozpoczął w Holandii, którą nazywał *"spokojną i wolną ziemią holenderską"*, a o diecezji Hertogenbosch mówił, że jest *"najbardziej katolicką diecezją na świecie"*.

### **Trudności ze strony Rzymu**

Od początku jedynym i największym pragnieniem ks. Berthiera było otrzymać pozwolenie na przechowywanie Najświętszego Sakramentu w kaplicy. Gdy kaplica była już przygotowana do tego celu, ks. Berthier, za radą Biskupa diecezjalnego, skierował do Stolicy Apostolskiej prośbę o potrzebne pozwolenie. Z tego powodu wynikły wielkie przykrości, i to ze strony, z której najmniej się tego spodziewał.

Holenderska prowincja kościelna podlegała jeszcze wówczas Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, dlatego tam właśnie należało się starać o podobne pozwolenia. Dnia 28 lutego kardynał Ledóchowski, prefekt tej św. Kongregacji, pisał do biskupa Van de Ven, że charakter nowego instytutu wydaje mu się niezupełnie jasny. Pytał, czy kandydatami do kapłaństwa w tym instytucie są wyłącznie mężczyźni niezdolni do pracy z powodu podeszłego wieku. W takim przypadku przedsięwzięcie takie byłoby zupełnie bezużyteczne, tym bardziej gdy chodzi o pracę misyjną. Gdyby tak było, ks. Biskup powinien przekonać gorliwego Ojca, aby zrezygnował z prowadzenia tego instytutu, a swoją gorliwość skierował na bardziej pożyteczne tory.

Biskup Van de Ven w dniu 5 marca 1896 wysłał kardynałowi Ledóchowskiemu odpowiedź zawierającą obszernie wyjaśnienia na temat osoby samego Założyciela oraz na temat istoty i znaczenia tego instytutu dla spóźnionych powołań. Dnia 13 marca kardynał Ledóchowski podziękował ks. Biskupowi za wyjaśnienia. Jeżeli zaś chodzi o samo Kolegium, to jeżeli ma ono na celu pomaganie diecezji, wystarczą mu pozwolenia Biskupa diecezjalnego. Kongregacja Rozkrzewiania Wiary wolałaby nie uważać tego instytutu za kolegium misyjne, dlatego żądanego pozwolenia nie przysłała.

Po otrzymaniu tego drugiego pisma ks. Biskup wyjaśnił wszystko ks. Berthierowi. Zrobiło to na nim wstrząsające wrażenie. Znajdując się między obawą a nadzieją, w dniu 17 marca napisał do ks. Biskupa: *"Jeżeli to ma być tylko doświadczenie*

*pochodzące z woli i łaski Bożej, wezmę je na siebie. Gdyby to jednak miał być dowód, że ani Bóg ani Kościół nie błogosławią tego przedsięwzięcia, jestem gotów od niego odstąpić, chociaż wydaje mi się, wobec tak licznych podań o przyjęcie, które otrzymałem, że na tym odcinku jest jeszcze okazja do uczynienia wiele dobrego".*

Ks. Berthier postanowił całą sprawę złożyć w ręce kardynała Langénieux, protektora instytutu, do którego dnia 26 marca napisał m. in.: *"Minęło już sześć miesięcy od założenia instytutu. Były trudności i wydatki z tym związane. Ale instytut nie ma, Bogu dzięki, żadnych długów. Otrzymałem ponad setkę zgłoszeń. Tylko dwudziestu mogłem przyjąć. Jeżeli będę pewny błogosławieństwa Kościoła, myślę doprowadzić rozpoczęte dzieło do rozwoju - nie zaciągając długów. Gdyby jednak Stolica Apostolska tego planu nie uznała, jestem również gotów natychmiast odstąpić od niego, niezależnie od zmartwień, jakie ta decyzja sprawiłaby mnie i moim dobrodziejom".*

Tego ostatniego nie żądała od ks. Berthiera ani Kongregacja Rozkrzewiania Wiary ani kardynał Langénieux, który polecił mu kontynuować w dotychczasowy sposób rozpoczęte dzieło. Po interwencji kardynała Langénieux Kongregacja Obrzędów pismem z dnia 28 maja udzieliła ks. Berthierowi upragnionego pozwolenia na przechowanie Najświętszego Sakramentu w kaplicy klasztornej.

Była jeszcze inna trudność, a mianowicie ta, że ks. Berthier nie znalazł takich współpracowników dla formacji młodych aspirantów, jakich się spodziewał. Miał również nadzieję, że jacyś kapłani wstąpią na jego drogę w nowym instytucie.

Ks. Bieling, kapłan wysokiej rangi, wybitny nauczyciel i pedagog, przez rok przebywał u boku ks. Berthiera. Zdobył sobie zaufanie studentów, ale nie mógł się pogodzić z metodą wychowawczą, z poglądami i prymitywem urządzeń początkującego instytutu. Jego odejście studenci przyjęli z żalem.

Ks. Ferdynand Patarin, saletyn, niezwykle pobożny kapłan, przez dwa i pół roku służył pomocą swemu starszemu współbratu. Nie mógł jednak dłużej wytrzymać w Grave. Robił co mógł, ale nie mógł przywyknąć do samego instytutu, gdyż nie znalazł w nim przyciągającej siły. Na własną prośbę został odwołany do La Salette.

Na jego miejsce przybył ks. Pons. Głosił on konferencje nowicjuszom, kazania, słuchał spowiedzi i na swój sposób czynił jeszcze wiele dobrego. Miał jednak już 74 lata, nie mógł więc przyjąć na siebie pełnych obowiązków nauczycielskich.

Ks. Berthier miał zamiar założyć także żeńską gałąź Zgromadzenia. Chciał dać jej nazwę "Siostry Pomocnice św. Rodziny". Ułożył nawet krótkie, tymczasowe konstytucje, które zostały zatwierdzone przez kardynała Langénieux. Ich celem miało być uświęcenie własne przez profesję zakonną i udzielanie pomocy Misjonarzom św. Rodziny. Pomoc ta miała obejmować trzy zadania: staranie o środki materialne potrzebne do wychowania misjonarzy, praca w poszczególnych domach Zgromadzenia, opieka nad dobrodziejkami instytutu, które znalazłyby schronienie u sióstr jako pensjonariuszki.

Według myśli ks. Berthiera instytut żeński miał podlegać Zarządowi Generalnemu Misjonarzy św. Rodziny. Porzucił więc plany założenia żeńskiej gałęzi, kiedy się przekonał, że Kongregacja dla Spraw Zakonnych nie pozwala na zakładanie zgromadzeń żeńskich zależnych od zgromadzeń męskich.

Miał jednak ks. Berthier dwie "siostry pomocnice", które współpracowały z nim w rozwijaniu nowego zgromadzenia. Zasługują one na to, by poświęcić im chociaż kilka słów.

Wspomnieliśmy już o pannie Coyret. Przybywszy do Grave, zobowiązała się ona ślubami prywatnymi do zachowania rad ewangelicznych i poddała się całkowicie kierownictwu ks. Berthiera dla dobra jego zgromadzenia. Przez 19 lat poświęcała się pracy w kuchni w coraz bardziej rozrastającym się ośrodku formacyjnym dla przyszłych misjonarzy. Ks. Berthier, zajęty sprawami seminarium i pisaniem książek, mógł w zupełności na niej polegać, bo wiedział, że sprawy kuchni będą prosperowały znakomicie. Nazywano ją siostrą Hermancją.

Drugą "siostrą pomocnicą" była siostra Maria. Przybyła ona do Grave w roku 1899 razem ze swym mężem. Oboje poświęcili swoje mienie, prace i całe życie dla rozwoju nowego zgromadzenia. Razem z siostrą Hermancją siostra Maria pełniła swoje obowiązki "pomocnicy" w kuchni.

## Rozdział XI - ZIARNKO GORCZYCY WZRASTA

Zatem 1899 roku ks. Berthier pomagał po raz ostatni swoim współbraciom w pracy duszpasterskiej na górze La Salette. Napisał do pani Vidal: *"Troska o podjętą fundację zaprzętała mnie coraz bardziej. Dochodzą teraz zajęcia w nowicjacie, który rozpoczyna się w październiku"*.

Dnia 4 października poświęcił sutanny dla siedmiu pierwszych swoich nowicjuszy.

Dotkliwy brak współpracowników stwarzał ks. Berthierowi wiele problemów. Musiał zajmować się wszystkimi, zarówno studentami jak i nowicjuszami. Sytuacja wymagała, by zdolniejsi studenci z wyższych klas pomagali w nauczaniu klas niższych. W roku 1902 napisał na ten temat: *"Zapoznaliśmy naszych studentów z metodą proponowaną przez św. Franciszka Salezego: Dobrym sposobem uczenia się jest studium; lepszym - uważne przysłuchiwanie się; najlepszym zaś - nauczanie innych"*.

Od roku 1900 mógł już ks. Berthier zauważyć, że jego fundacja zaczyna się umacniać, a liczba studentów z roku na rok wzrasta. W roku 1901 Zgromadzenie liczyło już pięćdziesięciu trzech studentów. Sześciu było już klerykami, czterech nowicjuszami, a czterdziestu trzech licealistami. W roku 1903 liczba studentów przekroczyła setkę.

Ciągłą i niezmordowaną pracę ks. Berthiera przerwała na moment radosna uroczystość z okazji czterdziestolecia jego kapłaństwa, którą obchodzono w Grave dnia 20 września 1902 roku. Całe miasto Grave włączyło się w tę uroczystość, a Jubilat był niezmiernie zaskoczony tym objawem życzliwości i szacunku, jaki przy okazji zmanifestowano.

W głębokiej trosce o swoje dzieło napisał we wrześniu 1903 roku swój "Duchowy Testament", w którym opracował główne wytyczne i podał praktyczne wskazówki postępowania dla swoich następców. Myślał przede wszystkim o tym, żeby zachowali wierność raz przyjętym zobowiązaniom względem nowych form życia; żeby pamiętali o specjalnym celu Zgromadzenia i zachowali dobrego ducha zakonnego jako dzieci świętej Rodziny. Swój testament kończy płynącą z głębi serca modlitwą: *"O Święta Rodzino! Do Ciebie się zwracam przy końcu tego testamentu. Od samego początku ofiarowałem Twej opiece tę małą trzódkę nowego zgromadzenia. Tobie ich polecam w momencie, gdy ich opuszczę. Tobie zawdzięczam wszelkie dobro, jakie powstało w tym domu... Spraw, niech każdy tutaj dąży do zdobycia tych cnót, których Ty jesteś przykładem. Trzymaj ich z dala od ducha tego świata: od pychy i żądzы sławy,*

*od pożądlivosti dobrobytu i od ziemskich interesów. Mam jeszcze tylko jedno pragnienie, jedno dążenie, zanim umrę: żebym mógł zobaczyć, jak to małe zgromadzenie wzrasta w takim właśnie duchu. Jestem przekonany, że wówczas wzrośnie również i w liczbę dla dobra i korzyści tych, którzy pójdą za Twoim przykładem".*

Takie postępowanie ks. Berthiera było zupełnie logiczne. Kierownictwo instytutu spoczywało wyłącznie w jego rękach. Gdyby miał umrzeć przedwcześnie, załamałoby się prawdopodobnie wszystko. Żaden członek Zgromadzenia nie spełniał jeszcze tych warunków, o których mówiły Konstytucje, aby mógł zostać przełożonym czy też członkiem Rady.

W przewidywaniu tego ks. Berthier zwołał, za zgodą Kardynała Protektora, w dniu 4 października 1903 roku pierwszą Kapitułę Generalną celem wyboru Wikariusza Generalnego i czterech asystentów. Wybory te, w których brało udział trzydziestu studentów - profesów, zostały zalegalizowane, a uchwały zatwierdzone przez Biskupa diecezjalnego.

Do najważniejszych trosk zaprzątających umysł i serce ks. Berthiera w tym roku, należały starania o uzyskanie tytułu do przyszłych święceń kapłańskich profesów Zgromadzenia. Starał się on o uzyskanie od Stolicy Apostolskiej Dekretu Pochwalnego dla młodego Zgromadzenia, ale takowego nie udzielano żadnemu instytutowi, który nie miał w swych szeregach kapłanów i tak powstało małe błędne koło.

Celem załatwienia tych spraw udał się dnia 3 marca 1903 roku do Rzymu. Na Watykanie odbywały się właśnie obchody srebrnego jubileuszu koronacji papieża Leona XIII. Odwiedził kardynałów Langénieux i Rampollę, którzy obiecali mu pomoc w jego sprawach. Starał się również o audiencję u Prefekta Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, której jednak mu nie udzielono. Musiał więc wracać do Grave. W drodze powrotnej odwiedził w północnych Włoszech swojego przełożonego generalnego ks. Perrin, i 16 marca zjawił się znowu w Grave.

Dnia 6 czerwca 1903 roku zakomunikowano mu, że nie może na razie otrzymać Dekretu Pochwalnego. W Rzymie nadal sądzono, że spóźnione powołania są to osoby w podeszłym wieku, tzw. "pracownicy ostatniej godziny". Ks. Berthier wysłał w dniu 9 lipca 1903 roku pismo do kard. Gotti, w którym poinformował go, że:

- Pragnie wraz ze swymi wychowankami prowadzić życie zakonne, aby ich przyszły apostołat był skuteczniejszy.
- Wyraża gotowość uzgodnienia swoich Konstytucji z wymaganiami ostatnich norm wydanych przez Stolicę Apostolską.
- Oświadczam, że członkowie instytutu są młodymi ludźmi w pełni sił.

Pismo zostało podpisane przez kardynała Langénieux, który napisał od siebie list wyjaśniający błędne koło, w jakim znalazł się ks. Berthier. Kongregacja Rozkrzewiania Wiary nie chce wystawić Dekretu Pochwalnego, gdyż instytut nie posiada kapłanów, a ks. Berthier nie może uzyskać tytułu do święceń, nie otrzymawszy wspomnianego Dekretu.

W chwili zakładania nowego zgromadzenia ks. Berthier spodziewał się, że wstąpi do niego przynajmniej kilku księży. Gdyby to nastąpiło, nie byłoby teraz trudności z uzyskaniem Dekretu Pochwalnego.

W dniu 31 sierpnia Kongregacja Rozkrzewiania Wiary odpowiedziała, że nie może spełnić prośby ks. Berthiera, ale zalecała inne rozwiązanie. Trzeba znaleźć

biskupa, który inkardynuje kandydatów do święceń i w którego diecezji będą oni później pracowali.

Ks. Berthier nawiązał kontakt z arcybiskupem z San Boniface w Kanadzie, który przybył nawet w odwiedziny do Grave. Nie zawarto jednak żadnego porozumienia, gdyż arcybiskup chciał otrzymać kapłanów zaraz po święceniach, a ks. Berthier mógł ich wysłać tam najwcześniej za 6 lat, kiedy Zgromadzenie już się ustabilizuje.

Ks. Berthier postanowił jeszcze raz podjąć kroki w tej sprawie w Stolicy Apostolskiej. Udał się w listopadzie 1904 roku do kardynała Langénieux z prośbą o pomoc. Kardynał Protektor skierował bezpośrednio pismo do papieża Piusa X, w którym prosił o udzielenie nadzwyczajnej łaski w postaci "Motu proprio" ze specjalnym pozwoleniem dla ks. Berthiera na dopuszczenie jego kandydatów do święceń. Sędziwy Protektor Zgromadzenia, schorowany już i cierpiący, udał się w swoją ostatnią podróż do Rzymu. Wręczył pismo Ojcu świętemu i rozmawiał z nim na temat kłopotów ks. Berthiera. Dnia 11 lutego 1905 roku Stolica Apostolska udzieliła pozwolenia na wyświęcenie dwudziestu kandydatów. Kardynał Protektor, wyświadczywszy tę ostatnią przysługę Zgromadzeniu, zmarł w dniu 31 grudnia 1904 roku.

Dnia 15 lutego ks. Berthier został niespodziewanie zaproszony do Hertogenbosch, gdzie ks. biskup Van de Ven zakomunikował mu tę radosną wiadomość o pozwoleniu. Wróciwszy do Grave, ks. Berthier natychmiast powiadomił całą społeczność zakonną o tej wielkiej nowinie. Wszyscy odśpiewali dziękczynne "Te Deum" i odmówili "De profundis" za spokój duszy kardynała Langénieux, który załatwił to pozwolenie.

Dnia 20 sierpnia 1905 roku trzech pierwszych członków Zgromadzenia otrzymało w Lovanium /Belgia/ święcenia kapłańskie. Msze święte prymicyjne, które nazajutrz odprawili w Grave, były ogromnym przeżyciem nie tylko dla nich samych, ale i dla całej młodej rodziny zakonnej z jej Założycielem na czele. Radość i szczęście, które Bóg daje swoim wybranym na ziemi, bywają często mieszane z goryczą. W tych dniach zmarła bowiem siostra Maria, a wkrótce potem ks. Pons, wierny przyjaciel i współpracownik ks. Berthiera.

Odtąd regularnie każdego roku odbywały się nowe święcenia. Wzrastała również znacznie liczba studentów. Mieszkania koszar stały się na początku 1907 roku za ciasne. W październiku tegoż roku kilku księży wraz z grupą studentów przeniosło się do drugiego domu otwartego w Grave, który nazwano "Notre Dame" na cześć Matki Bożej Saletyńskiej.

Teraz nadszedł czas rozpoczęcia drugiej fazy rozwojowej Zgromadzenia, a mianowicie zakładania nowych domów studiów w okolicach i krajach, gdzie można się spodziewać licznych powołań kapłańskich i misyjnych. Trzecia faza, wysyłanie misjonarzy do krajów pogańskich, na razie należała jeszcze do przyszłości.

W roku 1908 Zgromadzenie liczyło 25 kapłanów i stu trzydziestu siedmiu kandydatów do kapłaństwa, mianowicie 54 kleryków, 13 nowicjuszków i 70 alumnów niższego seminarium.

Ks. Berthier pisał w "Poślańcu św. Rodziny": *"To, co działo się do tej pory w naszym instytucie, nie odpowiada jeszcze naszym pragnieniom. Zmierzamy do tego, by nasze nowe domy zakładać w krajach katolickich, aby móc przyjąć więcej kandydatów ze spóźnionym powołaniem, którzy gdzie indziej nie mogą być przyjęci, wykształcić ich i wychować, a potem wysłać jako kapłanów misjonarzy do krajów pogańskich. Oby*

*duże pobożne wspomagały nas swoją modlitwą w tym przedsięwzięciu. Bardzo o to prosimy".*

## **Rozdział XII - ŻYCIE W GRAVE**

Nowa rodzina zakonna, na której ks. Berthier wycisnął swoiste piętno, pozwala na lepszy wgląd w jego osobowość, aniżeli sam przebieg jej powstawania, który już pobieżnie przedstawiliśmy.

Kamień obrazy, jakim był budynek koszar w Grave dla wielu, służył ks. Berthierowi jako kamień probierczy przy przyjmowaniu kandydatów. Oto jego słowa: *"Kto przeraża się taką drobnostką i cofa, ten dostatecznie wykazuje, że nie posiada wymaganego ducha i szlachetnego zamiaru zostania misjonarzem. Każdego, któremu idzie tylko o własne interesy, trzeba trzymać od nas z daleka"*.

Jeżeli ubogi wygląd budynku napawał przybysza lękiem, to spotkanie z ks. Berthierem było zaskakująco miłe i bardzo często decydujące. Niwelowało ono często pierwsze wrażenie i w wielu przypadkach wpłynęło na ugruntowanie się powołania.

Sposób życia w Grave nie był wcale sielanką. Wszyscy wstawali przez cały rok o godzinie 4.30 rano. Potem obowiązywały modlitwy poranne, a przed Mszą św. półgodzinne rozmyślanie. Po Mszy św. następowało półtoragodzinne studium aż do śniadania o godzinie 7.30. Na śniadanie podawano zwykle zupełną mleczną i posmarowany chleb. Potem rozpoczynały się lekcje. Ks. Berthier wprowadził dla spóźnionych powołań skrócone kursy nauki w zakresie szkoły średniej. Kursy te trwały najwyżej trzy lata. Pomocy naukowych było mało i nie były one na odpowiednim poziomie. Nie było też wykładowców. Ks. Berthier nie miał szczęścia do współpracowników. Wymagało to wiele wysiłku osobistego. Nawet część wakacji przeznaczano na samokształcenie. Rekreacje przeznaczano na pracę fizyczną. Ks. Berthier powiedział na ten temat: *"Przyszli misjonarze powinni łączyć z duchem modlitwy przede wszystkim miłość do pracy. Chodzi tu nie tylko o pracę umysłową, ale i fizyczną. Sam Jezus dał nam przykład, pomagając św. Józefowi w pracy cieleskiej. Święty Paweł pracował własnymi rękami na utrzymanie siebie i swoich najbliższych. Praca nie hańbi rąk zakonników, ani nawet rąk kapłańskich. Praca ręczna wymaga precyzji i umiejętności, prostoty i skromności. Odpowiada duchowi ubóstwa, pomaga w zachowaniu ducha św. Rodziny i przystoi przyszłym misjonarzom"*.

Praca fizyczna przyczyniała się również do samowystarczalności zakładu w Grave. Wielu studentów było prawdziwymi fachowcami w różnych rzemiosłach. Ks. Berthier wylicza w "Posłańcu" ponad trzydzieści zawodów wykonywanych przez studentów.

Wszelkie wakacje spędzano w Grave. W niedziele i święta odbywano spacer. Sportu i zabaw nie uznawano. Sam ks. Berthier był wychowany w warunkach spartańskich i nie uświadamiał sobie, że odprężenie i wyzicie się młodych ludzi w dziedzinie sportu jest potrzebą życiową. Kandydatom, którzy zgłaszali się do niego, dawał do zrozumienia, że czekają ich wielkie trudy i zmagania: *"Trzeba być na to przygotowanym, że tutaj prowadzi się życie ubogie, ukryte i bardzo pracowite. W czasie wakacji nie jedzie się do domu. Posługujemy się tu językiem francuskim"*.

Język stwarzał początkowo duże trudności. Wielu ze zgłaszających się nie było Francuzami. Zgłaszali się również Niemcy i Holendrzy. Za czasów ks. Berthiera byli już

nawet Polacy. Studenci ci przez dłuższy czas nie mogli porozumieć się ze sobą ani z ks. Berthierem, który nie znał języka niemieckiego ani holenderskiego. Dla takich kandydatów zorganizowano 6 - tygodniowy kurs języka francuskiego. Uważano, że to wystarczy do udziału w lekcjach prowadzonych w języku francuskim.

Dużą niedogodnością był chłód w pomieszczeniach. Poza salami wykładowymi nie było żadnych pieców w domu. Te, które istniały, dawały jednak bardzo mało ciepła, tak że temperatura była właściwie zawsze jednakowa, niezależnie od tego, czy palono, czy też nie. Kiedy ktoś podchodził do pieca żeby się ogrzać, wytykano mu to jako brak umartwienia, dlatego też nikt tego nie robił.

Głównym źródłem, z którego studenci czerpali swoje siły, była pobożność. Na ten klimat pobożności wpływały gorliwie odprawiane codzienne ćwiczenia duchowne, jak uczestnictwo we Mszy św., rozmyślanie, czytanie duchowne, różaniec i modlitwa za misjonarzy.

Ks. Ludwik Comte, saletyn, tak opowiada o swoich obserwacjach i wrażeniach wyniesionych z Grave: *"Gdy chodzi o życie wspólne, nie ma wśród nich żadnej różnicy. Kapłani i studenci siedzą w refektarzu obok siebie. Spożywają te same potrawy. Używają tylko jednego talerza...Mają wspólną sypialnię. Łóżka są zrobione z dwóch kozłów, trzech desek i siennika. Surowo zachowują ślub ubóstwa... Podobnie sumiennie i ściśle zachowują ślub posłuszeństwa..Gdy chodzi o pobożność, to muszę powiedzieć, że wszystkim, co widziałem i co słyszałem, jestem naprawdę zbudowany...Mają bardzo wiele pobożnych zwyczajów... Wszystko to było bardzo budujące i wzruszające".*

Niewątpliwie nie wszystko w tej pobożności było złotem, które świeci. Była jednak w tym wszystkim dobra intencja, i w niej właśnie znajdowano siłę do radosnego znoszenia trudności życiowych.

To surowe życie było niewątpliwie dla niektórych zbyt ciężkie, dlatego było ono nieraz przedmiotem krytyki. Te głosy niezadowolenia należały jednak do wyjątków. Według zgodnego świadectwa tych, którzy tam żyli, atmosfera w domu była radosna i szczęśliwa. Ks. Berthier wspomina, że przygotowując podczas wieczornych rekreacji jarzyny i ziemniaki na dzień następny, prowadzono serdeczne rozmowy, śpiewano różne pieśni. Ogólnie mówiąc, panowała zawsze atmosfera rodzinna i prawdziwe koleżeństwo wśród tych młodych ludzi pochodzących z różnych narodowości.

Można również powiedzieć, że będąc dziećmi swoich czasów, często zbyt jednostronnie przesadzano odnośnie niebezpieczeństw zagrażających ze strony świata. Członkowie instytutu w Grave żyli zbyt wyizolowani od swego otoczenia. Zbyt jednostronnie podkreślano życie ukryte Jezusa w Nazarecie. Było tam ważne tylko to, co nadprzyrodzone. Jak się wyraził jeden ze świadków: *"nie znając świata, byliśmy ogromnie szczęśliwi".*

Nie należy jednak zapominać, że życie w Grave obfitowało w dobre przykłady i w solidną naukę. Kwitły tu cnoty, które były praktykowane w Nazarecie, a mianowicie: wzajemna miłość, prostota i pracowitość, które połączone z pobożnym życiem, stanowiły mocny fundament wzorowej, jak się później okazało, działalności misyjnej.

Na zakończenie warto przytoczyć słowa późniejszego przełożonego generalnego, ks. Trampe, który zapytany na ten temat, powiedział: *"Prowadził surowe życie, może bardzo surowe, ale za to bardzo piękne".*

### Przykład ks. Berthiera

Międzynarodowa wspólnota zakonna, mimo wielu różnic, stanowiła jedno, i mimo braków i wyrzeczeń była szczęśliwa. Było to możliwe jedynie dlatego, że zakładem kierowała wybitna indywidualność. Osobowość ks. Berthiera wyciskała swoje piętno na charakterze i specyficznych cechach domu macierzystego. *"Wysoko cenit życie wspólne i pielęgnował je w sposób wyjątkowo doskonały. Nie zaniedbał żadnego wspólnego ćwiczenia zawsze był z nami...Dawanie dobrego przykładu, to jego metoda wychowawcza"* - świadczą o nim jego uczniowie.

Nie miał do własnej dyspozycji żadnego pokoju. Cela, którą przeznaczył dla siebie, nie była niczym innym, jak tylko kącikiem na wspólnej sali sypialnej, odgrodzonym najskromniejszą zasłoną. Spał jak wszyscy inni na prostym sienniku wypchanym słomą. Miejscem jego pracy była sala wykładowa. Tam pracował całymi godzinami...Był człowiekiem nieprawdopodobnie aktywnym: utrzymywał szeroką korespondencję, pracował nad swymi książkami, sprawował nadzór nad wszystkimi pracami, prowadził wykłady z teologii. Jego maksymą było: *"Nasz czas jest czasem Bożym"*.

Pomimo że był starszym człowiekiem, nie chciał mieć niczego więcej od swoich studentów. Siedział, jak oni, na starej ławce bez oparcia. Był bardzo wrażliwy na przeziębienia. Z konieczności musiał zimą wdziawać na siebie grubszy płaszcz i nosić drewniane pantofle. Gdy siedział w sali wykładowej, nogi trzymał w skrzynce z sianem. Były to jedyne jego przywileje. Nigdy nie widziano go przy piecu.

Wystarczyło na niego spojrzeć, a było wiadomo, że ubóstwo zachowywał z umiłowaniem. Na ten temat powiedział: *"Nie jest to żaden ideał życia zakonnego, jeżeli po złożeniu ślubu ubóstwa ma się wszystko, czego sobie człowiek życzy. Biedni nie mają tego wszystkiego, czego sobie życzą"*.

Jego uczniowie pamiętają go jako człowieka pełnego wyrzeczenia. Sam uważał siebie za juczne zwierzę w ręku Boga. Wszystko, cokolwiek zrobił, uważał za nieznaczące. Próżność była mu zupełnie obca.

Oto jak określił go biskup Paulot: *"Robił wrażenie człowieka ubogiego i wyzbytego ze wszystkiego, co ziemskie, ale bogatego swoim praktykowaniem ubóstwa. Świadom był swojej nicości i pokory, ale za to gotowy był w tym duchu pracować aż do końca świata"*.

Pewien kapłan francuski, który podobnie jak ks. Berthier, zasłużył się na polu piśmiennictwa religijnego, tak pisze do niego w roku 1903: *"Musi mnie Ojciec nauczyć tajemnicy, jak zachowuje... swoje pobożne skupienie i swego ducha gorliwości, gdy wciąż jest zajęty...pertraktowaniem z wydawcami książek, sprawą kolportażu tych książek. Jestem od tych rzeczy zupełnie chory. To jest śmiercią dla ducha"*.

Jego tajemnicą było to, że wszędzie znajdował Boga: w domu, w ogrodzie...przy każdej pracy..., wszędzie potrafił się modlić. Wszyscy podziwiali jego umiejętność skupiania się i jego zjednoczenie z Bogiem.

Kto jest przejęty i wypełniony Bogiem, ten ma również serce otwarte na potrzeby bliźnich. Ks. Berthier był pełen ojcowskiej dobroci dla wszystkich. Przejawiał ojcowskie zainteresowanie wobec wszystkich osób, które go otaczały. Potrafił wzbudzać zaufanie w swoim otoczeniu. Jego dobroć nie była jednak nigdy słabością. Gdy zauważył, że zakradały się nadużycia, samowola, nieuzasadniona krytyka, niezadowolenie i niewdzięczność, które zagrażały dobremu duchowi zakładu, okazywał się nieugiętym. Mówił wtedy: *"Plotkarze i krytycy są zarazą dla społeczności. Kto w ten*

*sposób wpływa na młodszych i przyczynia się do zwichnięcia ich powołania ten postępuje po łotrowsku".*

Przejawiał on również pewne słabości ludzkie, dając się unosić gwałtownemu temperamentowi. Pomimo wytrwałej pracy nad sobą był nieraz porywczy i wybuchowy. Jak już zauważyliśmy, był bardzo uparty. W jego przypadku jednak ta upartość pomogła mu do zrealizowania swoich planów i projektów. Najczęściej przejawiała się ona w nieugiętości.

Chociaż ci, którzy z nim współżyli, widzieli jego wady rozumieli jednak, że jego cnoty i zalety kształtowały jego charakter, dlatego też wszyscy uważali go za godnego szacunku i podziwu.

### **Rozdział XIII - IDEAŁY I KIERUNKI DUCHOWE**

*Łatwo jest kogoś przekonać, gdy się samemu czyni to, co się innym radzi" - powtarzał za Św. Bernardem ks. Berthier. Wypowiedź ta sprawdzała się również na nim samym. Wszyscy widzieli, że jego słowa były echem jego życia.*

Warto było jego słuchać. Dzisiaj posiadamy jedynie pokaźną liczbę jego własnoręcznie napisanych listów, oraz całą masę przemówień, które jego uczniowie w Grave z większą lub mniejszą dokładnością spisywali. Nie znajdziemy tam jednak jego oryginalnych osobistych myśli odnośnie życia duchowego, podobnie jak w jego książkach. Przemawia jednak z nich głębokie przekonanie i daje się zauważyć częsty nawrót do ulubionych tematów lub ważnych myśli zaczerpniętych z Ewangelii. Ten brak oryginalności rekompensuje doskonałe ujęcie i umiejętne głoszenie prawd Bożych.

Odnaczał się ogromną miłością do Kościoła i Stolicy Apostolskiej oraz dziecięcym wprost przywiązaniem do Namiestnika Chrystusowego na ziemi. Z czcią i posłuszeństwem wykonywał wszystkie zarządzenia przychodzące z Rzymu lub od biskupów diecezjalnych. Bardzo troszczył się o to, by zachować czystość i prawdziwość nauki Kościoła. Wypowiedzi sławnych pisarzy, świętych nauczycieli, wielkich teologów i znanych mistrzów życia duchowego przyjmował za własne i często je powtarzał. Wiedza życia duchowego, którą czerpał z tylu czystych i zdrowych źródeł, stała się jego osobistą własnością. Korzystał z niej sam i pozwalał czerpać z niej wszystkim, którzy zawierali jego kierownictwu.

Myśli i wskazówki duchowe, które głosił, nie stanowią żadnego zamkniętego kręgu ani opracowanej całości. Można z nich jednak skonstruować pewne schematy, według których jego poglądy się kształtują.

Ksiądz Berthier patrzył na wszystko z nadprzyrodzonego punktu widzenia. Wszystko oceniał w świetle wiary i wieczności. Powiązanie życia z wiarą jest dla niego najważniejszym zadaniem na ziemi.

*"Ewangelia ze swymi ośmiu błogostawieństwami - tak nauczał - przedstawia nam zupełnie inne zasady i wartości, niż te, którym, hołduje świat. Świat, w przeciwieństwie do Ewangelii, dąży do życia łatwego i wygodnego. Dlatego należy się odciąć od światowych poglądów, aby dojść do najściślejszego zjednoczenia z Bogiem".*

*"Bóg jest dobrem prawdziwym, istotnym i niezmiennym. Jest źródłem wszelkiego dobra. Wszystko, co nie jest ku Niemu skierowane, choćby to były nasze najpoważniejsze troski i najdoskonalsze dzieła, nie będzie to miało żadnego znaczenia, jeżeli nie będzie zmierzało ku Bogu i Jego chwale. Bez Niego wszystko jest niczym, a z Nim wszystko jest*

wielkie. Szukajmy więc Boga na modlitwie, w czytaniu, w studiach, w dzień i w nocy, zawsze. Tylko Bóg może wypełnić nasze serce...Ponieważ nie staramy się, by nasze serce było zupełnie wolne, dlatego znajdujemy tak mało smaku w Bogu".

"Wiara uczy nas, abyśmy wszystkie rzeczy oceniali według ich prawdziwej wartości, a ludzką działalność widzieli w jej prawdziwych wymiarach. Jeżeli grzech i nieszczęście duszy idącej na zatracenie rozważamy w świetle wiary, nie możemy pozostać wobec tego obojętnymi".

Swoich młodszych współbraci w kapłaństwie zaklinał:

"Proście codziennie Boga, którego kochacie i który jedynie zasługuje na waszą miłość, aby pozwolił wam raczej tysiąc razy umrzeć, niżby miał dopuścić, byście Go jeden raz ciężkim grzechem obrazili. Jeżeli nie można inaczej, to raczej wszystko utracić, tylko nie Boga, jego łaskę, niebo, i duszy na wieki nie zatracić".

Jako misjonarz ludowy i doskonały rekolekcjonista przyzwyczajony był do tego, by z nadzwyczajną gorliwością walczyć ze złem. Jego spojrzenie na grzech i na wszystko, co do niego prowadzi i jest z nim związane, nie było niczym innym, jak tylko jego żywą wiarą. Z ojcowską troską dopomagał swoim dzieciom do zwalczania pokus i wskazywał im pomocne środki do tego celu, a mianowicie częstą spowiedź, modlitwę, zaangażowanie w studium, sumienne prace fizyczne, nabożeństwo do św. Rodziny i do Matki Bożej, a przede wszystkim zjednoczenie z Bogiem przez częstą Komunię św., Komunię duchową oraz praktykę solidnego życia wewnętrznego.

Kto chce skutecznie zwalczać zło, musi podciąć jego korzenie. Korzeniami grzechu są nieuporządkowane skłonności i namiętności. Do tego tematu ks. Berthier stale powracał: "Zabierzcie się pilnie do tego, by zwalczać swoje popędy, błędy i słabości, i przewyciężajcie je. Pracujcie niestrudzenie nad sobą i praktykujcie wyrzeczenie i pokutę. Umartwiać się to znaczy starać się czynić nie to, co się nam podoba, co jest dla nas przyjemne, co schlebia naszej miłości własnej, ale czynić wszystko z miłości ku Bogu. Umartwienie jest rzeczą bezwzględnie konieczną".

Prawdziwa wolność polega na służeniu Bogu czystym sercem. Jedyne i prawdziwe niewolnictwo tkwi w grzechu. "Prawdziwie wolnym człowiekiem jest jedynie ten, kto jest panem swoich namiętności. Wszystko, co zmierza ku temu, by złamać tyranie namiętności i zjednoczyć duszę z Bogiem, musi być uważane za największe dobrodziejstwo".

Z tym tematem związane jest zagadnienie życia zakonnego. Było ono więc również przedmiotem niestrudzonych zabiegów ks. Berthiera. W życiu zakonnym wszystko zmierza do tego, by pomóc człowiekowi opanować swoje namiętności i otworzyć wolną drogę do zjednoczenia z Bogiem. Dlatego też stan zakonny był zawsze w oczach ks. Berthiera nigdy nie dość cenionym dobrodziejstwem. Stan ten uważał za najwznioślejszy, najbardziej doskonały, a łaskę powołania do niego za największe Boże dobrodziejstwo. Nie pominął żadnej okazji, aby swoich podwładnych pouczać o ważności i szacunku dla rad ewangelicznych, a szczególnie dla cnoty dziewictwa. "Rady ewangeliczne stanowią istotę życia zakonnego, a nas prowadzą do prawdziwego szczęścia i do świętości".

Ks. Berthier uważał powołanie do życia zakonnego za wielką łaskę, dla zachowania której trzeba być gotowym do podniesienia największych ofiar. Trzeba z całego serca kochać swoje powołanie i nieustannie się o nie troszczyć.

Podkreślał zawsze ważność zachowywania reguł i przepisów oraz wierności w wypełnianiu swoich codziennych obowiązków. Szacunek i posłuszeństwo wobec

przełożonych oraz wzajemna miłość we wspólnocie, są według niego podstawą życia zakonnego: *"Jeżeli jest coś wspaniałego w domu, to chyba szacunek wobec przełożonych i wzajemna miłość braterska, które tam panują. Pamiętajcie o tym, że śluby zakonne nie wymagają niczego więcej, jak tylko miłości do Boga i bliźniego. Tam gdzie oddaje się przełożonym należną cześć i przyzwyczajają się serce do miłości bliźniego, tam panuje raj na ziemi. Jeżeli te dwa punkty będą dokładnie przestrzegane; jeżeli będziecie się starali przepoić nimi swego ducha, nie będzie potrzeba właściwie żadnych reguł ani konstytucji"*.

Miał zbyt wiele doświadczenia i zbyt wyostrzony zmysł praktyczny, by pozostawić realizację tych wielkich ideałów własnemu losowi, albo, co gorsza, je lekceważyć. Jeżeli miłość bliźniego i posłuszeństwo stanowią fundament życia zakonnego, to zaparcie się siebie i duch poświęcenia się stanowią według ks. Berthiera jego duszę. Wiedział doskonale, że miłość bliźniego i doskonałe posłuszeństwo są niemożliwe, jeżeli nie ma gotowości do zwalczania swego egoizmu, osobistego upodobania i rezygnacji z własnych planów.

Życie zakonne jest życiem ofiary. Ks. Berthier chciał swoich współbraci usilnie o tym przekonać: *"Zakonnik powinien żyć w Chrystusie, żyć dla Chrystusa i dla współbraci, w tym jednak musi umrzeć dla siebie. Kiedy zostanie misjonarzem, musi być w każdej chwili gotowym oddać wszystko dla rozwoju i szerzenia królestwa Bożego. Czemu więc mamy cofać się przed ofiarami?"*

Pragnął natchnąć swoich współbraci wysokim ideałem św. Rodziny, która miała być dla nich doskonałym wzorem do naśladowania w życiu zakonnym. Do tego trzeba być człowiekiem z charakterem, gotowym do walki o swój ideał. Mówił że: *"Jeden mąż Boży jest więcej wart, niż dom pełen przeciętnych zakonników"*. *"Trzeba mieć ideał, żeby doprowadzić coś do skutku"*. W przeciwnym wypadku łatwo traci się ducha wobec przeciwności i trudności, które się pojawiają. *"Powinniście mieć swój ideał. Wszystko pójdzie wam łatwo, jeżeli ideał, który będziecie chcieli osiągnąć, dobrze uchwycicie"*.

Miłować Jezusa Chrystusa i głosić Go innym, o Nim samym myśleć, a także o środkach i drogach wiodących do tego, żeby świat doprowadzić do Niego, oto ideał kapłański i misjonarski, do którego starał się nakłonić swoich uczniów i współbraci. Ich ideałem zakonnym powinno być naśladowanie ukrytego życia Jezusa, Jego świętej Matki i św. Józefa.

*"Pozwólcie, aby wasze wzniosłe powołanie mogło rozwinąć się w pełni. Oby święta Rodzina ukształtowała nasze życie! Musimy mieć Jej myśli, Jej przekonania i Jej serce... Nie ma nic większego i szlachetniejszego, jak przyswoić sobie ducha św. Rodziny. Kto nie przejmie się całkowicie tym duchem, ten nie odpowie w pełni swemu powołaniu. Jeżeli będziemy rozważać o św. Rodzinie i postaramy się naśladować Ją w naszym życiu, kształtując według Jej wzoru nasz sposób postępowania, będziemy najdoskonalszymi ludźmi na świecie"*.

Święta Rodzina była dla ks. Berthiera najwspanialszym wzorem wszystkich cnót, jak: ubóstwo, czystość, posłuszeństwo, pracowitość, skromność, pobożność, pokora i prostota, zapomnienie o sobie, a przede wszystkim wzajemna miłość. *"Im bardziej zbliżycie się do ubóstwa, czystości i posłuszeństwa św. Rodziny, tym owocniejsze będzie wasze duszpasterstwo"*. W swoich regułach nazywa ubóstwo warownią życia zakonnego. Jego współbracia mają kochać ubóstwo jak własną matkę. Powinni również wpatrywać się ustawicznie w Chrystusa posłusznego w swoim życiu ukrytym. Poza tym powinni odznaczać się również szczególnym umiłowaniem cnoty czystości.

A to jeszcze inne wskazówki ks. Berthiera dla jego młodej wspólnoty zakonnej: Często powtarzał swoim studentom: *"Im więcej wysiłku włożycie w zdobycie pokory, umartwienia i innych cnót zakonnych, tym skuteczniej uświęcicie siebie samych i więcej zdziałacie dla dobra dusz nieśmiertelnych"*.

Życie ukryte i życie wewnętrzne znaczyło dla niego jedno i to samo. Mówi nam o tym fragment książki o św. Rodzinie: *"Ci, którzy przez nauczanie duszpasterskie i kazania łączą swoje posłannictwo z życiem kontemplacyjnym, pełnią równocześnie rolę Marii i Marty. Żyją przez to w najdoskonalszym stanie życiowym... Tylko w zjednoczeniu z Bogiem, który sam najskuteczniej dokonuje zbawienia ludzi, kapłan może wykonywać skutecznie swoje duszpasterstwo, Jego dzieła będą tym większe, im pokorniejszy i ukryty w Bogu będzie on sam"*.

Ks. Berthier zabiegał szczególnie o to, by wśród jego podwładnych panowało poświęcenie i miłość braterska, jedność i stała tendencja do szukania szczęścia i zadowolenia w otoczeniu współbraci: *"Nie powinni o tym zapominać, że wzajemny szacunek dla siebie i miłość - to jest cel naszych Konstytucji; że wszystkie inne zarządzenia zwyczajne i śluby są na to nastawione, by dusze karmić miłością Boga i bliźniego. Powinni się wzajemnie ubiegać o uprzejmość i usługowość względem siebie, aby stać jednym sercem i jedną duszą. Powinni pomagać sobie wzajemnie w pracy, w kłopotach życiowych wzajemnie się pocieszać i przez taką postawę być wzorem dla studentów. Powinni z wielką troską dbać o jedność woli i nigdy w niczym nie dopuszczać do łamania tej jedności Gdy się jest związanym węzłami prawdziwej miłości braterskiej, łatwiej i skuteczniej można poświęcić się służbie Bożej i zbawieniu dusz"*.

Ksiądz Berthier w całym swoim nauczaniu ascetycznym zmierzał ku temu, aby skierować swoją młodzież zakonną ku wejściu na drogi wiodące do całkowitego oddania się na służbę Bożą. Często powtarza, że *"finis legis dilectio"* co znaczy, że celem prawa jest miłość.

*"Rady Chrystusa Pana, Konstytucją wierne wykonywanie naszych obowiązków, to wszystko ma za cel dążenie do doskonałości, czyli ma prowadzić do miłości.. We wszystkim trzeba szukać Boga i uwolnić się od miłości stworzeń, aby całe swoje stworzenie skierować ku Bogu, i tylko Boga miłować w stworzeniach stosownie do Jego woli". "Powinniśmy miłować naszego Pana! Przecież On tak bardzo nas umiłował"*.

Gdy mówił o sprawach doczesnych, dodawał niekiedy: *"to są dobre sprawy, ale zawsze tylko drugorzędne. Najważniejsze jest, abyśmy kochali Boga"*.

Zachęcał zawsze do ufności w Bogu: *"Zawierzmy całkowicie Bogu. Zachowajmy ufność w Jego dobroć i bądźmy spokojni. Żaden włos nie spadnie nam z głowy bez woli Ojca Niebieskiego. Nie może nas spotkać żadna choroba ani żadne niepowodzenie, które nie byłoby uprzednio przewidziane przez Opatrzność Bożą. To jest klucz do szczęścia i tajemnica pokoju Świętych. Unikajcie przygnębienia i wszystkiego, co pachnie melancholią. To jest zaraza społeczna. Trzeba być zawsze dobrej myśli. Kto poświęcił się na służbę Bogu, nie ma powodu do smutku Smutny Święty jest smutnym Świętym. Niech wasze serca zawsze będą przepełnione radością, bądźcie weseli i szlachetni, inaczej nigdy nie dokonacie niczego wielkiego"*. Stale zachęcał młodzież zakonną do modlitwy wewnętrznej, rozmyślenia i do pamiętania o obecności Boga: *"Wszyscy Święci mieli jednego ducha, gdyż wszyscy byli ludźmi modlitwy, szczególnie wewnętrznej. Wszyscy czerpali z tego samego źródła. Bóg oświeca swoje sługi na rozmyślaniach w cichości i milczeniu"*.

*"Kontemplacja jest najkrótszą drogą do nieba...Kwiat, małeńki robaczek, przepiękna góra pozwalają nam poznać wielkość Boga, a zarazem naszą własną małość...Wszystkie nasze trudności wewnętrzne i zewnętrzne mają przyczynę w tym, że oddalamy się od Boga".*

### **Kierownik duchowy**

Ksiądz Berthier był troskliwym ojcem duchownym nie tylko dla wielu studentów w Grave, którzy powierzali mu kierownictwo swoich sumień, ale i dla wielu innych osób, które go znały. W jego obszernej korespondencji można znaleźć wiele danych na temat jego kierownictwa duchowego.

*"Pomogę ci w poszukiwaniu Boga"* - to była obietnica dla tych, którzy prosili go o kierownictwo sumienia. Pan Jezus przecież powiedział: *"Szukajcie a znajdziecie"*. Kto więc szuka Boga, znajdzie Go, a wraz z Nim znajdzie wszystko.

*"Bądźcie doskonali, jak Ojciec wasz Niebieski jest doskonały"*. Ks. Berthier był przekonany, że doskonałość chrześcijańska jest nie tylko celem dążenia jedynie dla osób zakonnych, ale jest również ideałem, który każdemu chrześcijaninowi powinien być bliski.

Zdecydowany i pewny siebie w sposobie bycia, potrafił zdobyć autorytet jako przewodnik dusz. Okazał się nawet wybitnym znawcą dusz. Wiedział, że przed dobrocią i szlachetnością otwiera się szeroko serce i dusza drugiego człowieka. Jeżeli musiał powiedzieć komuś jakąś przykrą prawdę, czynił to śmiało i zdecydowanie, po ojcowsku. Jej odbiorca zawsze czuł, że tu chodzi o jego dobro, o zbawienie jego duszy.

Głównym jego punktem wyjścia było nadprzyrodzone widzenie wszystkich rzeczy. Do p. Bidaut napisał: *"Świat i stworzenia są niczym. Bóg jedynie jest wszystkim. Pani powinna całkowicie w Nim odpocząć. Oby Bóg uczynił Panią szczęśliwą i świętą. W tym jest wszystko zawarte"*. Do p. Vidal pisał: *"Trzeba przede wszystkim należeć do Boga, a wszystko inne nie powinno nas obchodzić"*.

Jego książki przemawiały tym samym językiem: *"Wiara przemawia do rozumu: Bóg jest wszystkim, a ziemia tylko ziarnkiem piasku; czas jest tylko przemijającą chwilą, a wieczność nigdy się nie kończy. Panie spraw, aby wszyscy ludzie pojęli powagę życia i abyśmy się dobrze przygotowali do wieczności"*.

Chciał, aby jego podopieczni zawsze czuwali, ale nie znaczy to, że mają się poddawać lękom. *"Nie lękaj się. Wymaż małe plamy na duszy przez miłość"* - pisał do pewnego chorego studenta. Starał się przekształcić swoich najbliższych w radosne dzieci Boże i był przekonany, że miłość do Boga zdobywa się przez dziecięce oddanie się Bożej Opatrzności. Jedną z jego ulubionych wypowiedzi brzmiała: *"Odpocznij w Bogu, moje dziecko! Nic nie jest tak uspokajające jak cisza i spokój! Czynmy, co jest w naszej mocy, a gdy chodzi o resztę, zostawmy Bogu i Jego Opatrzności Jeżeli Bóg nie będzie z nami współdziałał, żaden nasz wysiłek niczego nie dokona"*.

Ksiądz Berthier zachęcał nieustannie wszystkich do odwagi i męstwa, do zaparcia się siebie i do wyrzeczenia. Kładł jednak zarazem silny nacisk na to, by ich nakłonić do radosnego zaufania Bogu i do całkowitego oddania się Jego Opatrzności: *"Pokój i ufność w Bogu napełniają dusze radością i odwagą"*. Jednego ze swoich studentów zachęca słowami: *"Wyrzuć tę bezowocną obawę! Oddaj się całkowicie Bogu! Nie dawaj miejsca uczuciom strachu! Przychodzą one wtedy, gdy nerwy są zbyt stargane. Nie martwcie o to! Oddaj się raczej we wszystkim Bogu!" "Nie daj się pochłonąć przez żadne inne pragnienie, jak tylko przez pragnienie czynienia*

wszystkiego zgodnie z wolą Bożą. Tylko w ten sposób przywieszysz duszę do prawdziwego spokoju. Pamiętaj zawsze o tej radzie! Tu znajdziesz źródło pokoju, wielkich zasług, a nawet i świętości". *"Jarzmo Pańskie nie jest jarzmem tyrana, ale jest "słodkie". Trzeba więc to jarzmo nieść z miłością i oddaniem. Jeżeli mimo to nawiedzać nas będą obawy, trzeba je ofiarować Bogu jako doświadczenie, które jest nierozzerwalnie związane z naszym bytowaniem na ziemi. Musimy przecież zawsze znosić cierpienia, żeby się upodobnić do naszego Boskiego wzoru. Nie powinniśmy się również dziwić, że znajdujemy w sobie tyle nieuporządkowanych skłonności. Są one następstwem grzechu, ale miłość Chrystusowa podnosi nas i oczyszcza"*.

*"W Jezusie znajdujemy wszystko. Złóżmy w Nim wszystkie nasze słabości. Trzeba pozwolić, aby wszystko to, co słabe, spłonęło w serdecznej miłości ku Niemu i więcej już o to nie trzeba się martwić! Nie przeceniajmy tych rzeczy. Jeżeli człowiek zbyt się martwi o sprawy doczesne, zanudza tym ducha i zatracą swą odwagę. Zapomnijmy o wszystkich swoich biedach. To są chwasty z naszego ludzkiego, przyziemnego ogrodu. Nie powinniśmy się temu wcale dziwić. Miejmy tylko cierpliwość ze sobą. Nasz Boski Zbawiciel też musi cierpliwie nas znosić. Trzeba się więc oddawać codziennie z żalem połączonym z miłością w Jego ręce. Nic lepszego ponadto nie możemy uczynić"*.

To wszystko wymaga bez wątpienia wysiłku i samozaparcia, jednak *"gdzie jest miłość prawdziwa, tam wysiłek się nie liczy"*. Trzeba stale spoglądać na krzyż Zbawiciela, bo krzyż jest darem Bożym, który on wybrał i przeznaczył dla swoich przyjaciół. Trzeba rozszerzać swoje serce przez ofiarę i miłość Bożą.

Bez pomocy łaski walka duchowa będzie dla nas zbyt ciężka, a zjednoczenie z Bogiem i życie wewnętrzne niemożliwe. Dlatego ks. Berthier zachęca swoich podopiecznych do modlitwy, aby mogli żyć w skupieniu i zjednoczeniu z Bogiem, oraz do częstego przystępowania do sakramentów świętych: *"Proszę się dużo modlić! Zbawienie osiągamy tylko przez łaskę, a łaskę można uprosić przez modlitwę. Tylko wytrwałość bywa przez Boga koronowana. Wytrwałość zaś osiągamy również przez modlitwę"*.

Radzi często odmawiać akty strzeliste, które szczególnie są ważne wtedy, gdy nie ma sposobu odmawiania dłuższych modlitw. *"Bóg jest blisko tych, którzy Go wzywają"*.

Podkreśla konieczność milczenia w życiu duchowym: *"Zdobądź się na gorliwość w zachowaniu milczenia, gdyż jest to najtrudniejsze a zarazem najważniejsze dla zachowania zapału i uniknięcia straty czasu"*.

Głębokie życie wewnętrzne zawiera w sobie coraz większe oddanie dla dobra współbraci. Prawdziwa pobożność zakłada miłość do Boga, a prawdziwa miłość do Boga zawiera w sobie również miłość bliźniego. *"Jeżeli kochamy Boga, pragniemy także, aby i inni Go kochali. Dlatego powinniśmy dbać o formy grzecznościowe. One zdobywają nam serca i zaufanie bliźnich"*.

#### **Rozdział XIV - WIERNY AŻ DO ŚMIERCI**

Ksiądz Berthier był właściwie zawsze, przez całe życie, człowiekiem słabego zdrowia. Chociaż po ciężkiej chorobie w pierwszych latach po święceniach kapłańskich nie było nawrotów, to jednak zdrowie ks. Berthiera pozostawiało często wiele do życzenia. Od czasu do czasu musiał kłaść się do łóżka na parę tygodni lub odpoczywać.

Przez całe życie nawiedzały go przykre bóle. W Grave często się przeziębiał i w ten sposób powstał u niego chroniczny kaszel. W roku 1907 dała mu się mocno we znaki grypa. Dolegliwości te jednak nigdy nie hamowały jego działalności i nie przeszkadzały mu w życiu wspólnym. Jest rzeczą zupełnie logiczną, że rozsądny człowiek o tak słabym zdrowiu często widzi przed sobą śmierć. Podobnie było z ks. Berthierem. Już na dwadzieścia trzy lata przed śmiercią pisał: *"Bądźmy gotowi...Uprośmy sobie dobrą śmierć! Rozumiem dobrze, że jest to łaska nad łaskami"*. Kiedy przebywał w Grave, często powtarzał: *"Za życia potrzebuję więcej modlitwy, aniżeli po śmierci, bo jeżeli tylko umrę w stanie łaski uświęcającej, wszystko będzie uratowane"*. W ostatnich latach swego życia listy swoje kończył słowami: *"Módl się za mnie, moje dziecko, abym mógł umrzeć śmiercią szczęśliwą"*. Niezwykłe było może to, że modlił się o śmierć nagłą, ale w stanie przygotowanym. Czynił tak dlatego, gdyż uważał że przy nagłej śmierci szatan nie ma żadnej możliwości do kuszenia i uwodzenia do grzechu.

W maju 1907 roku udał się na kilka dni do klasztoru OO. Cystersów w Nieuwkuik w Holandii celem przygotowania się na śmierć. Powrócił bardzo zbudowany swoimi spostrzeżeniami i przeżyciami tych dni i mówił z zapałem o pięknie i głębi samotności.

Coraz bardziej czuł się jak ktoś, kto już wypełnił swoje zadanie i może odejść. W tym duchu wypowiedział się przy okazji święceń diakonatu w dniu 4 października 1908 roku: *"Wy, moje dzieci, będziecie mogli jeszcze wiele zdziałać. Ale ze mną już koniec. Myślę, że to są ostatnie święcenia, które przeżywam z wami. Wy możecie przygotowywać się do pracy, ja zaś przygotowuję się na śmierć"*.

Nie czuł się już wtedy dobrze, ledwo trzymał się na nogach. Cierpiał znów na starą i powtarzającą się chorobę. Męczył go znowu ten chroniczny kaszel. Przeniósł się więc do infirmerii, żeby w nocy nie przeszkadzać innym, ale nawet wtedy nie dyspensował się od pracy i od wspólnych ćwiczeń duchownych, tak że domownicy nie zdawali sobie sprawy z tego, że koniec jest tak bliski.

W dniu 15 października wyszedł z infirmerii, ażeby, jak zwykle, przewodniczyć czytaniu duchownemu. Chociaż jego siły bardzo osłabły, mówił jednak z zapałem i przekonaniem na temat kapłaństwa i stawiał współbraciom za przykład św. Proboszcza z Ars.

W piątek dnia 16 października wstał o normalnej godzinie, ubrał się i zaczął się przygotowywać do Mszy św. Przyszedł infirmiarz i zorientował się, że z chorym jest źle. Siedział na krawędzi łóżka z głową przechyloną do tyłu i z błędnymi oczyma. Położył go więc na łóżko i pobiegł do ks. Carla, zastępcy ks. Berthiera, zawiadamiając go o groźnej sytuacji. Ks. Carl i ks. Trampe stwierdzili, że chory znajduje się w agonii - miał trudności z oddychaniem i prosił o otwarcie okna.

Ks. Trampe zaproponował ks. Carlowi, żeby udzielił choremu ostatnich sakramentów. Ks. Berthier jednak odpowiedział, że najpierw musi odprawić Mszę św. Świadczy to o tym, że chory nie zdawał sobie sprawy ze swego krytycznego stanu. Kiedy nalegano na niego, żeby przyjął sakrament namaszczenia, odpowiedział: *"Zostawcie mnie w spokoju, nie męczcie mnie!"*

Mimo to ks. Trampe przystąpił do udzielenia choremu sakramentu namaszczenia. Ledwie zdążył to uczynić, ks. Berthier cicho i spokojnie oddał ducha Bogu. W ostatnim momencie przybył do łóża umierającego ks. dziekan Sprangers i udzielił mu błogosławieństwa apostołskiego na godzinę śmierci. Ks. Berthier zmarł 16

października 1908 roku rano o godzinie 6.15. Walka ze śmiercią trwała około godziny. Zawsze prosił Boga o łaskę nagłej śmierci i Bóg mu jej udzielił. Jego niespodziewane i szybkie zejście z tego świata było ciosem dla całej młodej rodziny zakonnej. Gdy jego zgon publicznie oznajmiono w kaplicy, rozległ się wielki szloch. Cały dom pogrążył się w smutnym milczeniu.

Kilka godzin po zgonie doczesne szczątki zostały ubrane w szaty kapańskie i złożone na marach w pokoju śmierci. Uczniowie czuwali na zmianę trójkami przy zwłokach, odmawiając modlitwy za zmarłych aż do dnia pogrzebu.

W dniu 19 października odbył się pogrzeb. Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzili go jego duchowi synowie oraz zakonne delegacje Saletynów, Sercanów, Kapucynów, Jezuitów i Cystersów. Ks. dziekan Sprangers, w asyście swoich wikariuszy odprawił Mszę św. pogrzebową. W swojej homilii powiedział: *"Życie tego człowieka, którego nam Bóg przysłał i darował, jest wydarzeniem historycznym. Byłoby rzeczą pożyteczną i korzystną opowiedzieć o nim"*. Wspominał o miłości zmarłego do swoich duchowych synów i zachęcał do zachowania tego daru miłości. Podkreślił świętość jego życia, szlachetność jego duszy, jego bezinteresowność i zaparcie samego siebie, które sprawiły, że wszyscy, którzy go znali, otaczali go szacunkiem i sympatią. Mówił, że nie znał drugiego tak zdolnego i uczonego człowieka, który byłby tak skromny i przystępny dla innych. Skromność i prostota charakteryzowały go przez całe jego życie. Otaczał go szacunkiem prosty lud, z którym miał wprawdzie utrudnione kontakty osobiste z powodu bariery językowej, ale cnota i świętość posiadają swój własny język, którym przemawiają. Ks. Dziekan zakończył stwierdzeniem, że zmarły nie szukał w życiu niczego innego, jak tylko chwały Bożej i zbawienia dusz.

### **Nie zostawił nas sierotami**

Przełożony generalny Misjonarzy Saletynów, o. Józef Perrin, zapisał w swoim dzienniczku w dniu 31 grudnia 1908 roku: *"Podziękowanie ks. Rektora Misjonarzy św. Rodziny. Fotografia ks. Berthiera na łożu śmierci zdaje się świadczyć, że nie należy się lękać o przyszłość jego Zgromadzenia"*.

Kilka tygodni po śmierci Założyciela jego następcą, ks. Józef Carl pisał do ks. Perrin: *"Chociaż tym, co Boga miłują, wszystko obraca się ku dobremu, to jednak pozostaje także prawdą, że ta nagła strata jest dla naszego Zgromadzenia ciężkim ciosem i doświadczeniem. Spotkało to nas w samych początkach naszego rozwoju. Ta strata pozbawiła nas najsilniejszej podpory, mianowicie Ojca, który nie ulękł się wziąć na siebie trudu życia i ofiary, aby nas wychować na misjonarzy. Swoim życiem był dla nas światłem, a przede wszystkim przykładem praktykowania cnót, na które patrzyliśmy z podziwem. Odejście naszego Ojca pogrążyło nas w smutku. Jednak serca nasze nie są zaniepokojone. Całą naszą nadzieję pokładamy w zapewnieniu naszego najlepszego Ojca, który nam powiedział: "Ufajcie, moje dzieci, ja was nie zostawię sierotami, ani na pastwę losu. Gdy będę w niebie, sprawy będę widział lepiej. Będę mógł wam służyć lepszą i skuteczniejszą pomocą". Wierzymy, że nasz dobry Ojciec zaczął już urzeczywistniać swoje przyrzeczenie. W niebie wstawia się za swoimi dziećmi i za tymi, których miłował"*.

Ks. Carl wraz ze swymi doradcami znalazł się wobec trudnego zadania. W swoim przemówieniu skierowanym do Wspólnoty w sam dzień pogrzebu o. Założyciela, stwierdził bez ogródek, że ks. Berthier jest nie do zastąpienia i po jego zgonie pozostaje luka, której nikt nie potrafi wypełnić. Chociaż odszedł, to jednak nie pozostawił nas w

niepewności. Powiedział kiedyś: *"Zgromadzenie będzie tym, co z niego zrobicie. Gdy mnie kiedyś zabraknie, musicie prowadzić wszystko tak, aby Zgromadzenie było tym, czym się odznaczało od początku. Ta sama idea, która dzieło wprowadza w życie, powinna przyświecać i w jego rozwoju. Jest zasada i prawda niezaprzeczalna. W tym domu panowało od samego początku prawdziwe ubóstwo i prawdziwa prostota i w takim duchu powinno się dalej rozwijać. Lękać się należy raczej wewnętrznych trudności Bądźcie więc posłuszni swoim przełożonym i zgodni między sobą, a działyacie wiele dobrego. Bóg będzie z wami. Nie lękajcie się."*

Szybko rozpoczął się zewnętrzny rozwój Zgromadzenia. Pierwszy dom zakonny poza Holandią powstał w roku 1909 w Werthenstein w Szwajcarii. Następny powstał w roku 1910 w Wacken w zachodniej Flandrii /Belgia/.

Pamiętnym wydarzeniem był wyjazd w 1910 pierwszych misjonarzy do Brazylii. Do nich przyłączyły się następne grupy w latach 1912 i 1913.

Dom macierzysty w Grave okazał się już za mały i zachodziła konieczność otwarcia nowych domów w Goirle i w Kaatsheuvel. Ten kwitnący rozwój Zgromadzenia przerwała wojna światowa 1914 -1918.

Pomimo trwania wojny powstały jednak nowe domy we Francji i w Niemczech. Po wojnie, w roku 1921 Zgromadzenie zakłada pierwszy dom w Polsce, w Wieluniu, a potem następne domy w Górcie Klasztornej i w Kazimierzu Biskupim.

W roku 1924 Zgromadzenie rozpoczyna działalność w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. W roku 1926 powstaje misja na Borneo. Powstają również fundacje w Belgii. W roku 1929 otwarto dom w Wiedniu w Austrii.

W roku 1931 misjonarze niemieccy rozpoczynają działalność w Norwegii, a misjonarze holenderscy rozpoczynają misje na Jawie.

Rozprzestrzenianie się Zgromadzenia na wszystkich niemal kontynentach domagało się podziału na prowincje. Powstało 5 prowincji Zgromadzenia Misjonarzy Św. Rodziny: Holenderska, Szwajcarska, Francuska, Niemiecka i Polska. Z prowincji niemieckiej stworzono później dwie: zachodnią i wschodnią.

Druga Wojna Światowa znowu hamuje rozwój Zgromadzenia w Europie, ale powstają nowe fundacje w Chile i w Argentynie. Po wojnie /1947/ powstaje fundacja w Hiszpanii, a następnie rozpoczyna się działalność Zgromadzenia w Afryce: na Madagaskarze i w Etiopii.

W roku 1957 otwarto nowy Dom Generalny w Rzymie. Pomimo trudności powojennych Zgromadzenie Misjonarzy św. Rodziny ufnie patrzy w przyszłość. Wysiłki i ofiara ks. Jana Berthiera nie poszły na marne.